

okaleczona

figurka

6-7



piekło

niekochanych

8-9

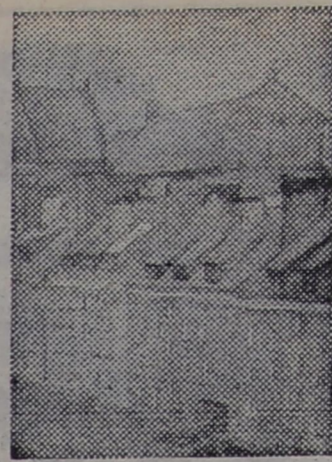


opowieści

korytarza

sądowego

12



osmętница

pędzlem

przywołana

14



# KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

29

(56)

KONTAKTY

26 VII 1981

Cena 6 zł



Z CYKLU: SZANUJMY WIEDZĘ PRZODKÓW

**JAK ZROBIĆ SKRĘTA?**

FOT. GABOR LÖRINCZY

**zabeczmy razem**

STANISŁAW ZIELIŃSKI

**POLSKI  
DYLEMAT  
NADZIEJE  
I ZWĄTPIENIA**

**mikrony  
mo-  
ral-  
no-  
ści.**

**ANDRZEJ  
BARTOSZ**

Niedawno z dziennika telewizyjnego dowiedziałem się, że w Polsce istnieje i działa Towarzystwo Kultury Moralnej. Było to dla mnie (człowieka parę lat po trzydziestce) zupełne zaskoczenie, bowiem jest to chyba towarzystwo najtajniejsze ze wszystkich. A jest ich w kraju sporo. I każde dało jakoś znać o sobie; Towarzystwo Kultury Moralnej — nigdy! I wiem nawet dlaczego. Mówienie w Polsce o jakiegokolwiek moralności wywoływało bowiem zawsze lekceważące wzruszenie ramion. Żeby umoralniać rodaków trzeba najpierw zostać papieżem — tłumaczył mi przed laty swoje pedagogiczne trudności ze studentami profesor K., wybitny polski humanista. Przyznałem mu wówczas rację.

Od tej rozmowy upłynęło kilka lat. W tzw. międzyczasie Polska doznała pierwszą bezkrwawą rewolucję społeczną, wkroczyła w etap permanentnej przebudowy, którą co odważniejsi zwykli nazywać „odnową moralną”. Tymczasem szanowne Towarzystwo Kultury Moralnej musi w dalszym ciągu działać w głębokiej konspiracji. Gdyby bowiem, nie daj Bóg, spróbowało wyjść z ukrycia i sporządzić, np. „Raport o stanie moralności obywateli PRL”, przypuszczam, że jego opublikowanie mogłoby się zakończyć nieprzewidzianymi konsekwencjami politycznymi, strajku generalnego nie wyłączając. Bo któż u licha ma prawo mówić o moralności Polaka skoro tenże, przeciętny Polak miał „zły rząd, niedemokratyczną partię,



## Łomżyniacy na IX Zjeździe Partii

Na krótko przed zakończeniem Zjazdu zapytałem członków delegacji łomżyńskiej — jaki był ich wkład w pracowity tydzień zjazdowy, co po Zjeździe, czy mają już zarys swoich inicjatyw i przedsięwzięć, które ożywią życie partyjne w Łomżyńskim?

Kazimierz Piotrowski: — Byliśmy jedną z najmniej licznych delegacji, ale dość widoczną. Z głównej mównicy zjazdowej (obrady plenarne) przemawiał wprawdzie tylko Włodzimierz M. Chaluk, ale w zespołach nasi częściej i na dłużej dochodzili do głosu. Mikołaj Jednacza (zespół XI — problemy edukacji i kultury narodowej) udokumentował krzyżące międzyregionalne dysproporcje w dostępności do kultury i oświaty. Wskazał także odwagę, przeciwstawiając się grupie nauczycieli, którą bardziej interesowała gra wyborcza, bardziej interesy branżowe niż ogólnopartyjne. Henryk Swiderski (zespół II — rola statutu PZPR w działalności partii) z uporem domagał się wyraźnego określenia stosunku członków partii do religii oraz zachowania prawa organizacji młodzieżowych do rekomendowania swych członków zgłaszających chęć wstąpienia do partii. (Wniosek ten nie przeszedł).

Stanisław Kaseja pracował w zespole VII (rozwoj produkcji rynkowej, kierunki zrównoważenia rynku), Jan Netter w X (podstawowe problemy rozwoju wsi, rolnictwa i gospodarki żywnościowej), Mieczysław Czerniawski w I (ideologiczna i organizacyjna jedność PZPR, przewodnia rola partii w walce o socjalistyczną odnowę), ja w sekretariacie Zjazdu oraz w zespole XVI (polityka kadrowa PZPR). Dodajmy jeszcze żywą działalność naszych delegatów w komisjach zjazdowych: Mieczysława Czerniawskiego i Stanisława Gabrielskiego w komisji uchwał i rezolucji, Stanisława Kasej — w mandatowej, Mikołaja Jednacza — w skrutacyjnej oraz uczestnictwo w prezydium Zjazdu — Krystyny Kostro i Witolda Malinowskiego.

Wreszcie informacja godna szczególnego podkreślenia: nasi w naczelnych władzach partii — rolnik, Witold Malinowski, został członkiem Komitetu Centralnego; Włodzimierz M. Chaluk został zastępcą członka KC, a rolniczka, Krystyna Kostro, członkiem Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej.

Mieczysław Czerniawski: — Co po Zjeździe? Żadnego tzw. „przenoszenia” i mielenia informacji zjazdowych dostatecznie już znanych dzięki środkom komunikacji społecznej. Od razu namysł w instancji miejskiej i wojewódzkiej nad tym, jak przetransportować na użytek praktyki partyjnej postanowienia delegatów, kurs na pomysłowość w realizacji zadań. Powinniśmy przyjąć teraz zupełnie inne niż dawniej kryteria oceny członków partii, potępiające kunktatorstwo a wyróżniające świeżość myśli, inicjatywę, twórczy upór w działaniu. Można powiedzieć: kończy się rozpamiętywanie przeszłości — zaczyna budowanie przyszłości, którą trudno sobie wyobrazić bez szybkiego ratunku dla teraźniejszości, czyli sprawnego wyjścia z kryzysu. Kiedy teraz myślę o tym, słowo partyjność jakoś naturalnie łączy mi się ze słowami: inicjatywa, otwartość, powinność. (zag)

## zdania z poklaskiem

„Składamy winę na byłych przywódców, ale czy nie jesteśmy winni i my. Stało się tak, jak w anegdocie: do chłopaków na ulicy przyszedł gość, zaprosił ich do gospody, stawiał wódkę, przekąskę, zagraniczne papierosy; wszyscy pili i paliли i przytakiwali, klaskali, a on ich zostawił, a kelnerka ich z gospody nie wypuszcza, bo rachunek nie zapłacony... Działaj musimy wiedzcie, że chłopu nie oplaca się świni chować, bo taniej w sklepie kupić, a ziemia może odłogiem leżeć. Trzeba więc tak rządzić, żeby chłop szukał chleba na polu, a robotnik w sklepie. Wówczas dojdziemy do równowagi”. (Stefan Lewandowski, rolnik z gminy Chorzele, woj. ostrołęckie).

„Muszą być tytu, aby nasz głos było w partii slychać i żeby po prostu nie było można nas nie wysłuchać. Wtedy robotnik nie będzie musiał ani krzyżeć, ani łupać”. (Albin Siwak, brygadysta w KBM Warszawa-Wschód).

„Kiedy przestaniemy się bać inicjatyw i nowatorstwa, kiedy przestaniemy bać się ludzi, którzy nie czytają z naszej kartki, to nie będziemy musieli bać się przeciwników socjalizmu, gdyż pokonały ich metodą najbardziej skuteczną, pokonamy ideologicznie i politycznie. Polska reforma, nie trzeba bać się tego słowa, ani uważać je za wyklęte, brzydkie i dwuznaczne, jest dla formacji socjalistycznej palącym problemem. Jeżeli będziemy działać mądrze, to Polska, w której chciano by widzieć chorego człowieka, może stać się jednym ze źródeł nadziei socjalizmu”. (Mieczysław Rakowski wicepremier)

„Rząd przeciwstawił się próbom urzupowania sobie możliwości stawiania poza, a tym bardziej ponad prawem. Tylko państwo praworządne może być państwem demokratycznym. Tylko państwo demokratyczne może być państwem sinym. Dziś sprawowanie władzy jest ogromnym ciężarem. Nie chodzi więc o personalne pozycje. Te zdać najłatwiej. Natomiast nie może być i nie będzie oddana władza ludowa, władza socjalistycznego państwa. Tu nie powinno być żadnych złudzeń, żadnego igrania z ogniem.

Aby Polska była Polska, współcześnie być musi Polska socjalistyczna”. (Wojciech Jaruzelski, premier)

„Nasz zjazd i debata to dramatyczne konsylium. To konsylium jest też wielką nadzieją, ale dziś powiedzmy sobie otwarcie — następnego zawału partia już nie przetrzyma.

Jestem za ukaraniem winnych naszego dramatu. Trzeba wypienić zło do końca. Ale w wymierzaniu sprawiedliwości też jest potrzebna godność. Sądzimy nie tylko tamtych ludzi, sądzimy także mechanizm”. (Józef Kurdziewicz, lekarz, sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego w Rabce)

„Nie traćmy czasu, bo tego niewybaczają nam nasze dzieci. Dziś zapominają smaku słodyczy, a jutro w ogóle mogą być głodne”. (Henryk Kubiak, kierowniczka magazynu w ZPO „Zeta” w Zgierzu)

„Robotnicy czekają, żeby wszystko, co postawione zostało na głowie, postawili wreszcie na nogach i stać tymi nogami mocno na ziemi, żeby wszystko było normalne, ludzkie, sprawiedliwe, proste i zrozumiałe.

PZPR jest w naszą historię tak wpisana, jak życiorys każdego z nas w życie naszych rodzin. Partia musi dbać o to, aby nasz obraz był prawdziwy, rzetelny, aby nikt go nie lukrował. Partia jest od tego, aby walczyć o naszą jedność i karcieć tych, którzy próbują nas skłócić, grać na

najniższych instynktach”. (Jan Labędzki, I sekretarz KZ PZPR w Stoczni im. Lenina)

„Społeczeństwo polskie nie może się też zgodzić z rozpowszechnioną opinią, że sytuacja w najbliższych latach będzie jeszcze trudniejsza niż obecnie. Nie może zaakceptować powszechnej niemocy i braku perspektyw”. (Józef Kaleta, rektor Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu)

„Praktyka stosowania zbiorowej odpowiedzialności zbyt często prowadzi do indywidualnej nieodpowiedzialności”. (Jerzy Ratusznik, I sekretarz Komitetu Miejsko-Gminnego w Bełchatowie)

„Wszystko co będzie w moich możliwościach chciałbym spożytkować na budowę jedności całej naszej partii. Tak, żeby dla wszystkich było jasne, że możemy i powinniśmy iść prostą drogą po kursie socjalistycznej odnowy, po linii porozumienia, linii walki z zagrożeniami socjalizmu. Takim kursem chciałbym wraz z Komitetem Centralnym prowadzić partię, ani w lewo, ani w prawo, a prosto ku socjalistycznej odnowie”. (Stanisław Kania, I Sekretarz KC PZPR)

## przez zamknięte drzwi

Bez gości, bez dziennikarzy prasowych, radiowych i telewizyjnych odbywała się zamknięta część obrad Zjazdu. Oto wypunktowane notatki jednego z delegatów:

Replika szczecińskiego delegata Ireneusza Kamińskiego atakująca M. Rakowskiego za niedostrzeżenie — rzekomo — klasowego charakteru partii — zagluszana i przerywana przez salę.

Głos Tadeusza Grabskiego podziękujący opinie, by Zjazd powołał nową komisję do pracy nad sprawami rozliczeniowymi. Na Zjeździe pod nieobecność atakowanych towarzyszy nie postanawiać o ich wykluczeniu z partii.

Zadania natychmiastowego ukarania osób odpowiedzialnych. Nie z miłości wynika taka postawa, ale z poczucia odpowiedzialności — mówiła jedna z delegatek. Nie odkładać, rozliczać teraz, na Zjeździe, byłych przywódców, pozbawić legitymacji partyjnych.

Pytania do T. Grabskiego: — Jak to właściwie jest? Niech powie prawdę i nie wywołuje wrażeń, że ktoś każe mu milczeć. Dlaczego są takie mierne wyniki jego komisji?

Grabski: — Komisja została powołana zbyt późno. Miała ustalić winę, a nie karać. Od tego jest CKKP. E. Gierek oświadczył, że o zadłużeniach kraju dowiedział się przypadkowo w 1978 r. Wrzaszczyk nie poczuwał się do winy, bo zastał gospodarkę rozłożoną — robił co mógł, ale nie dał rady więcej zrobić. Łukasiewicz nie otrzymywał protokołów z Radiokomitetu.

Burzliwa dyskusja zakończona wykluczeniem z partii byłych przywódców.

Zatwierdzenie kandydatur proponowanych przez Kom. sję Wyborczą. Uwagi i pytania pod ich adresem. Dlaczego Henryk Jabłoński choć wcześniej oświadczył, że nie będzie kandydował do władz, zmienił zdanie. Odpowiedź: zmieniła się sytuacja; gdy go poproszono zdecydował się na kandydowanie w Tarnowie. Delegat z Tarnowa dodał, że tow. Jabłoński to symbol ciągłości ruchu robotniczego. Taka ciągłość jest potrzebna. I dlatego zgłosili go z tego regionu.

Delegat z Katowic powiedział, że choć wszędzie wybory odbywały się

w sposób demokratyczny, to w Katowicach ułożono tak listę kandydatów, że w tzw. rezerwie znaleźli się ci, którzy mieli przegrać.

Kto odpowiadał za politykę licencyjną. Jaki wpływ miał tow. Jednacza? M. Jagielski: — Polityka licencyjna była określana według planu budowanego od zakładów pracy, konsultacjach i opiniowaniu przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, decyzje były zatwierdzane przez rząd i Radę Ministrów. Roman Ney replikuje: Ministerstwo nie brało udziału w zakupach licencyjnych. Zawsze o tym decydowała Komisja Planowania Delegat z bielskiej „Befamy” do Jagielskiego: — To wyście akceptowali przecież tę politykę licencyjną a w tej chwili chcecie się wycofać.

## ogłosy

Ludwik Gromek, magazynier w robów gotowych w łomżyńskiej miłkarni: — Uważam, że po tym Zjeździe wszystko się naprawi, bo dotyczyło wiele było w naszym życiu chaosu. Oczekiwałem na to ważne wydarzenie i sądzę, że zapoczątkuje on punkt zwrotny w naszej trudnej polskiej rzeczywistości.

Teresa Boroński, inspektor ds. budownictwa w Łomżyńskim Przedsiębiorstwie Budowlanym w Łomży: — To, co w ciągu ostatnich dni wydarzyło się w Sali Kongresowej, napawa optymizmem. Jeśli wszystko tak będzie wyglądać w realizacji, — rzezywiście — będziemy za 2-3 lata naoczniymi świadkami wyjścia Polski z głębokiego kryzysu. Zaskoczyła mnie szczerota dyskusji, o wartości, życzliwość, a jednocześnie surowa krytyka.

Teresa Porytkowska, księgową SKR-e w Kupiskach Nowych: — Podobal mi się ten Zjazd. Sporo rolników, rolników. Wybór prawdziwie nowych władz. I ta atmosfera taka zwyczajna, ludzka, prosta.

Tadeusz Twarowski, kierownik Wydziału Rolnego i Gospodarki Żywnościowej WK ZSL: — Cieszę się zwycięstwami umiarkowanych. Uważam, że mały krokami wyprawa kraj z kryzysu. Nie jestem wielkim optymistą, że Zjazd nieczyli różdżka czarodziejska od razu zmieni nam krajobraz sklepowych półek. A niestety, wielu tak myśli. Byłem w tym czasie na wsi i rozmawiałem z rolnikami. Mówili mi: „Zjazd za pewni... Zjazd zmieni... Zjazd zdecydowanie... Zjazd zdrowi...”. Nie ta od razu, moi panowie. Na to trzeba czasu i samozaparcia.

Maria Chaberek, sekretarz KW PZPR w Łomży: — Jestem zadowolona, że Zjazd się odbył w taki sposób, jak tego oczekiwaliśmy wszyscy członkowie partii i chyba cały naród. Atmosfera szczerą, partyjną, jakże inną niż na poprzednich zjazdach. Sala na każdy głos reagowała po obywatelsku. Ale Zjazd to był nie tylko w Sali Kongresowej. U nas, w Komitecie, urywał się telefon: „Czemu nie przeszedł tow. Fiszbach? „Czy nie kandydował? „Czemu nie ma transmisji: u żywo? Przecież my chcemy o wszystkim, co tam się dzieje, wiedzieć. Były też interwencje, by wyeliminować z dyskusji gadulstwo i niekonkretność. Stałamy do sali obrad te lekksy. Jeden z nich zawierał prośbę naszych członków partii, by tow. Grabski wystąpił ze swoim raportem przed podaniem list kandydatów na członków KC. Wiele było też życzliwych telefonów pod adresem redakcji „Kontaktów” za reportaż ze w Stanisława Kani.

### Zwierzanie 4

Lucjusz C. jest wzorowym kierowcą PKS. Oficjalnie zarabia 9 tys. Nieoficjalnie 20. Dorabia nie wydając biletów na krótkich, przeważnie „kościelnych” trasach, tj. takich, gdzie dowozi się ludzi do kościoła lub pracy. Nieoficjalny dochód roczny 120 tys. złotych. Podatków żadnych. Koszty własne — tankowanie co pewien czas „Zaporożca” dyspozytora benzyną z autobusu, żeby dał trasę „kościelną”. Przyczyna kombinatorstwa — chęć zakupu luksusowego samochodu np. Mercedesa i postawienie go na taxi.

### Zwierzanie 5

Krzysztof L. jest elektrykiem. Pracuje w kombinacie budowlanym. Oficjalnie zarabia miesięcznie około 7 tys. złotych. Nieoficjalnie 20 tys. Dorabia w czasie godzin pracy wstrzelując pistoletem kółki do ściany wprowadzającym się na osiedle lokatorów. Pistolet i kółki są własnością kombinatu. Nieoficjalny dochód roczny elektryka wynosi około 150 tys. złotych. Podatków żadnych. Koszty własne — pół litra postawione majstrowi w dniu wypłaty i pomoc przy urządzeniu mu nowego mieszkania w bloku. Przyczyna kombinatorstwa — chęć dobrego

teriałów) kanapę bierze średnio 3,5 — 4 tys. złotych. W miesiącu robi trzy takie kanapy. Nieoficjalny roczny dochód pani Wiery wynosi więc około 100 tys. złotych. Dba o to, by „finans” jej nie zaskoczył, bo kiedyś słyszała, że może być z tego chryja. Koszt własny duży. Kierownik żąda od niej 1.000 zł miesięcznie łapówki za przymknięcie oczu na wynoszenie materiałów. Przyczyna kombinatorstwa — chęć zakupu samochodu.

### Zwierzanie 9

Mieczysław L. jest lekarzem. Zarabia oficjalnie 10 tys. miesięcznie. Nieoficjalnie 25 tys. Jako dobry pediatra prowadzi nielegalną praktykę domową. Boi się wydziału finansowego, ale ryzykuje. Nieoficjalny dochód roczny doktora wynosi około 200 tys. złotych. Przyczyna kombinatorstwa to — ponoć — dżungla przepisów, hamująca normalną prywatną praktykę lekarza. Koszty własne — 3 tys. miesięcznie odpłatnie znajomemu aptekarzowi za dostarczanie lekarstw.

### Zwierzanie 10

Janusz B. jest kelnerem. Oficjalnie zarabia około 3 tys. złotych miesięcznie. Nieoficjalnie trzy razy tyle. Zyski czerpie głównie ze sprzedaży przyniesionej ze sklepu wódki i sprzedawanie jej po cenach gastronomicznych. Rocznie daje to na czysto około 180 tys. złotych. Wydział

Pierwszy z nich głosi, że „państwo i socjalizm nigdy się od tego nie zawala”, jak sobie obywatel od czasu do czasu wypożyczy bezpłatnie z zakładu jakieś narzędzie, trochę surowca, bądź kawałek blachy i po godzinach albo w wolnej chwili zmagstruje coś dla siebie, albo najlepiej na sprzedaż.

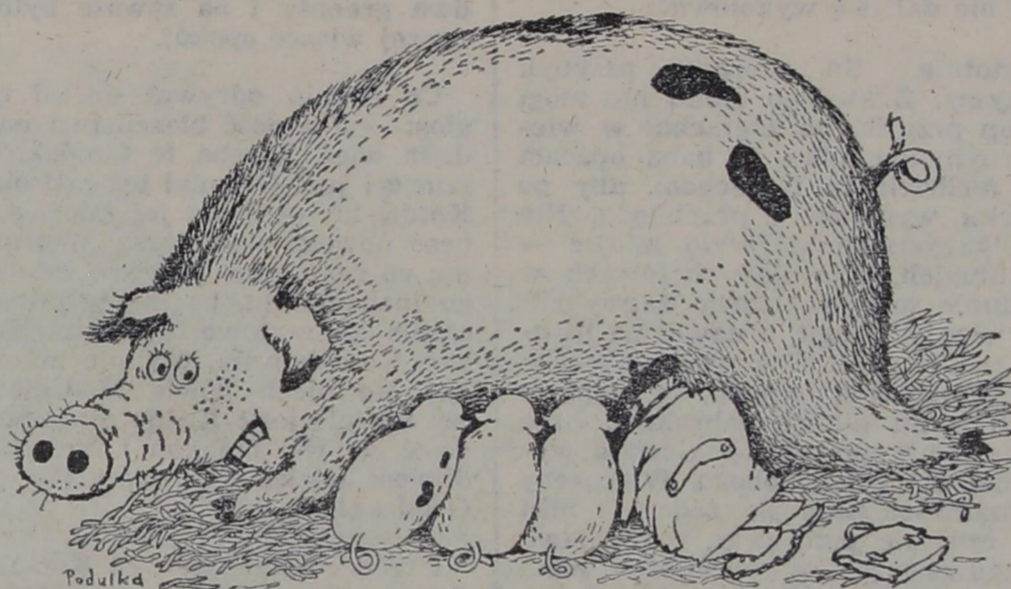
Mit drugi, rozpowszechniony głównie wśród kadry kierowniczej zakładów głosi: „A niech tam sobie Bida dorobi”. Ta „Bida” to przede wszystkim zwykły szeregowy pracownik, który lubi przed kierownikiem poskarżyć się na swe kłopoty domowo-rodzinne. Tu trzeba jednak powiedzieć, że o ile w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych najczęstszą śpiewką „Bidy” była kupa małych, niewinnych i głodujących dzieci, to teraz łatwo można już wzbudzić mówiąc o otrzymaniu nowego mieszkania, ślubie córki bądź okazji zdobycia samochodu. Tak więc skrajne ubóstwo wyszło z mody także i tutaj. A że w tym wypadku gruba forsą z „Bidą” w jednej parze idą, to konsekwencją tego mitu był fakt, że nim się ktokolwiek obejrzał, „Bida” i jej fuszerka przekształcały się w dobrze zorganizowany gang kombinatorów. A co było dalej, to już wiadomo. Byłoby jednak błędem twierdzenie, że powszechne ciągoty Polaków do fuszerki i kombinatorstwa, to tylko wynik funkcjonowania mitów czy stereotypów myślenia. Doskonałą okazję ku temu stwarza przede wszystkim nasz niezwykle tolerancyjny na tym polu „kodeks pracy”. Proszę mi bowiem pokazać: co lub kto chroni uczciwie pracującego człowieka w jego zakładzie przed kombinatorstwem jego kolegów? Nic! Absolutnie nic! A ponieważ żyjemy w epoce odnowy ruchu związkowego, to proszę zapytać choćby Lecha Wałęsę, czym grozi japońskiemu robotnikowi zrobienie pilniczka do paznokci z kawałka skradzionej z odrzutów blachy? I co dziwne, że nie właściciel fabryki, a właśnie japońska „Solidarność” — przyłożyłaby temu nieuczciwemu robotnikowi tak, że w stronę odrzutów nigdy w życiu by więcej nie spojrzął. Bo uczciwa, rzetelna praca — i to zarówno właściciela fabryki, jej dyrektora jak też i robotnika — jest tam chroniona i kontrolowana właśnie przez związki zawodowe. Jest to o tyle zrozumiałe, że tylko wówczas może być realizowane owo piękne hasło: „Każdemu według jego pracy”. Zapyta ktoś: Dobrze, ale tam jest zginił kapitalizm. Odpowiem: — tak, ale też hasła socjalizmu szybciej wcielają się tam w życie. I nie dziwię się wcale szefowi „Solidarności”, że śni mu się właśnie japońska Polska.

A że tak jest też na całym świecie to, kto nie wierzy, niech zapyta pierwszego wracającego z nielegalnej pracy na Zachodzie Polaka: ile musiał wraz z właścicielem się nagłówkować, by zarobić parę legalnych dolarów w tajemnicy przed związkami zawodowymi właśnie! Myślę, że warto taką związkową kontrolę zaryzykować i w Polsce, zgodnie z hasłem: „rząd rządzi — związki kontrolują”.

Przeżywamy epokę gwałtownej naprawy Rzeczypospolitej. Porządkujemy system prawny, demokratyzujemy życie, uczłowiczamy socjalizm. Emocje obiegają Polskę wzdłuż i wszerz. O potrzebie szybkiego opracowania minimum socjalnego dyskutują u nas już nawet przedszkolaki. Niestety: o potrzebie opracowania polskiego minimum moralnego — nie dyskutuje nikt! Do słownictwa nikt! I stąd chyba bierze się ów paradoks, że w dobie odnowy moralnej Towarzystwo Kultury Moralnej jest najtajniejszą lożą masonską działającą w Polsce Ludowej latem 1981 roku.

ANDRZEJ BARTOSZ  
Rys. Andrzeja Podulki

## mikrony moralności



życia. Elektryk lubi czasem dobrze się zabawić w porządnym lokalu. A poza tym — jak pieniądze się cisną, to czego ich nie brać. Przecież nie frajer.

### Zwierzanie 6

Apoloniusz J. jest docentem na wyższej uczelni. Oficjalnie zarabia 8 — 10 tys. złotych w ciągu miesiąca. Nieoficjalnie 25. Dorabia przygotowując uczniów liceum do podjęcia studiów wyższych. Nieoficjalny dochód roczny docenta wynosi około 150 tys. złotych. Żaden Wydział finansowy go nie nachodzi. Roboty jest czysta. Nie do udowodnienia. Przyczyna kombinatorstwa — utrzymanie standardu życia rodziny na przyzwoitym poziomie.

### Zwierzanie 7

Zyta R. jest maszynistką w Zjednoczeniu. Roboty ma niewiele. Często się nudzi. Jej zarobki miesięczne wynoszą 3,5 tys. złotych. Nieoficjalnie zarabia około 10 tys. Z nudów dorabia sobie na przypisywaniu prac magisterskich, doktorskich i innych, biorąc 20 złotych za stronę. Papier maszynowy, przebitka, maszyna i inne drobiazgi są własnością Zjednoczenia. W kosztach własnych pani Zyta pisze swojemu bezpośredniemu szefowi donosy na jego szefa do ministerstwa i trzyma go na kłódce. Rocznie wpada jej za to około 70 tys. złotych. Pierwszy raz w życiu słyszy, że to jest nielegalny dochód i nie bardzo rozumie, dlaczego mógłby się tym interesować Wydział Finansowy. Dodatkowo zarobione pieniądze odkładane są zawsze na wycieczkę zagranicą.

### Zwierzanie 8

Wiera O. jest tapicerką w fabryce mebli. Zarabia oficjalnie około 5 tys. Nieoficjalnie 15. Uzyskuje to prowadząc „dziki” zakład tapicerski w domu. Za jedną zrobioną na lewo (z wyniesionych z fabryki ma-

finansowego się nie boi. Sprawa jest nie do udowodnienia. Koszty własne — żadne. Wszyscy w gastronomii kombinują i najważniejsze jest to, żeby innym nie przeskadać. Dać „co kelnerce — kelnerowi”, „co kierownicze — kierownikowi”, a „co szefowskie — szefowi kuchni”, to maksyma pracy. Przyczyna zaś kombinatorstwa, to chęć ułożenia sobie lepszego życia. Janusz B. nie zamierza do końca życia być kelnerem, dlatego całą nielegalną forsę inwestuje w prywatny interes. Chce kiedyś wziąć lokal w agencję. Teraz jest już bardzo bliski celu.

Myślę, że ta dziesiątka osobistych zwierzeń pracowników fabryk, instytucji i zakładów, które tu przedstawiłem upoważnia do tego, by stwierdzić, że w naszym kraju istnieje zjawisko, które nazywa się spekulacją pracy. I nie jest to wcale sprawą marginalną. Bowiem w każdym polskim miejscu pracy żyją sobie w najlepszej symbiozie i zgodzie narodowej ci, którzy tyrają uczciwie przez osiem godzin za przeciętne 6 tysięcy złotych z tymi, którzy śmiejąc się z nich w kulkę na tzw. „fuchach” zarabiają trzy, a niekiedy cztery razy więcej... I uważam, że ta powszechna tolerancja dla wszelkiego rodzaju fuszerów i kombinatorów jest, obok złej organizacji pracy, podstawową bolączką naszego rynku pracy. Największym zaś niebezpieczeństwem płynącym stąd dla całego państwa jest fakt, że nasze społeczeństwo przeszło nad tym zagadnieniem do porządku dziennego i nie widzi moralnych spustoszeń, jakie wywołują takie praktyki w świadomości społecznej. Skąd to się bierze? Myślę, że z powodu dwu zakorzenionych głęboko w Polsce mitów.

### Zwierzanie 1

Jan K. jest mechanikiem samochodowym. Pracuje w warsztatach bazy transportowej. Miesięcznie oficjalnie zarabia 6—8 tys. złotych. Nieoficjalnie 16—20 tys. Tę nadwyżkę dorabia przeważnie po godzinach, reperując w warsztatach prywatne samochody osobowe. Energię, narzędzia, maszyny, części i lokal wykorzystuje państwowe. Żadne podatki ani kontrole się go nie mają. Koszty własne — comiesięczne, bezpłatne przeglądy Fiata kierownika bazy. Nieoficjalny dochód roczny pana K. wynosi około 120 tys. złotych. Przyczyna kombinatorstwa — rozpoczęcie budowy własnego domku.

### Zwierzanie 2

Izabella W. jest krawcową w Spółdzielni. Oficjalnie zarabia 3—3,5 tys. złotych. Nieoficjalnie — 9 tys. Nadwyżkę dorabia prowadząc w domu nie rejestrowany warsztat krawiecki i szyjąc z tzw. resztek. Są to wyniesione pokątnie ze Spółdzielni najlepsze materiały pozwalające na uszyte w miesiącu kilku atrakcyjnych sukienek. Na tych „resztkach” krawcowa dorabia rocznie „tylko” około 75 tys. złotych. Żadnych podatków z tego tytułu nie płaci. Przyczyna kombinatorstwa — chęć dopomożenia córce w umeblowaniu świeżo otrzymanego mieszkania. Koszty własne — 1 sukienka rocznie uszyta stróżowi (dla żony), żeby w bramie przymknął oko.

### Zwierzanie 3

Olga N. jest pracownicą cukrowni. Pracuje w paczkarni. Rozsypuje cukier do torebek. Oficjalnie zarabia w sezonie 4 tys. złotych miesięcznie. Nieoficjalnie 8 — 10 tys. Nadwyżkę uzyskuje z wyniesionego z zakładu w gumiakach i kieszeniach cukru. Nieoficjalny dochód roczny około 60 tys. złotych. Podatków żadnych. Przyczyna kombinatorstwa — chęć pomocy studiującemu synowi. Koszty własne żadne! No, może trochę strachu przy bramie.



# kontakty kontaktów

Ciągle słyszymy w radiu i czytamy w prasie o niewłaściwej pracy handlu. Jednak najlepiej można to ocenić poprzez doświadczenie „przyjemnej obsługi” na własnej skórze. Dotychczas byłem bardzo cierpliwy, jednak 3 lipca br. w Zambrowie, w „Samie” przy ul. Kościuszki szlag mnie trafił, gdy będąc 15 w kolejce po kurczaka nie otrzymałem go, ponieważ na zapleczu pani kierowniczka obsługiwała swoich klientów i nawet nie raczyła zamknąć drzwi. Sprzedawczyni na zwróconą uwagę, że na zapleczu jest prowadzona sprzedaż, oświadczyła z ironicznym uśmiechem, że to ją nie nie obchodzi. Nie dziwnego, iż później czytamy o przypadkach zepsucia się żywności w magazynach, skoro handlowcy zostawiają za dużo towaru na zapleczu swoim znajomym, a potem nie zawsze zdążą go rozprzedać.

Ciekawy jestem, co na to związki zawodowe, których członkiniami są pracownice tego sklepu.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

\*

W czasie pobytu na wczasach turystycznych w Łomży w miesiącu czerwcem z przyjemnością stwierdziłem, że miasto wygląda imponująco. Ale zwiedzając Grotę i klasztor sióstr Benedyktyn, będący zabytkiem, zauważyłem pod numerem 51 przy ulicy 22 Lipca coś, co uwłacza urokowi miasta. W podwórku pod tym numerem z ubikacji wylewają się ścieki zatruwające atmosferę, a mieszkańcom obrzydające życie. Ubikacja i przylegające chlewki stanowią wylegarnię szczurów i much. Dziwię się, że takim stanem nie interesuje się miejscowy Sanepid. Jeden z mieszkańców spod tego numeru oświadczył mi, że interweniowano już kilkakrotnie u odpowiednich czynników odpowiedzialnych za taki stan, ale bezskutecznie. Okropny smród raz już na ulicy i przed obiektami zabytkowymi.

KONSTANTY ADAMCZYK  
Kamionka, woj. olsztyńskie

\*

W czerwcem 1980 roku ukończyłam szkołę średnią, następnie w sierpniu tego roku podjęłam pracę w łomżyńskim PZU. Najpierw zostałam przyjęta na trzymiesięczny staż, później przedłużono mi umowę o pracę na miesiąc, a potem do końca 1980, motywując to tym, że po nowym roku powstanie Inspektorat PZU, w związku z czym zwiększy się ilość etatów i będzie możliwość pozostania na stałe. Jednak w nowym, 1981 roku etatów nie było, a umowę przedłużono do 2.01.1981, co nie daje mi ciągłości pracy. Tłumaczono, że od 1.01.1981 umowy zawrzeć nie można, ponieważ nie pozwalają na to przepisy. Następnie umowę przedłużano mi z miesiąca na miesiąc, cały czas obiecując stałą pracę. Sytuacja taka trwała do 30 czerwca 1981 r. W tym czasie jedna z pracownic korzystając z urlopu wypoczynkowego i bezpłatnego wyjechała w celach zarobkowych do Austrii. W miesiącu marcu umowa o pracę tej osobie się rozwiązała, a ja miałam zostać na jej miejscu. Angażu od razu nie otrzymałam. Była pracownica, wróciwszy z zagranicznych wojaży, w maju została ponownie przyjęta do pracy. Nie mogłam się z tym pogodzić. Moja sprawa była również poruszana na zebraniu Solidarności. Choć wielu pracowników mnie popierało, zebranie nie przyniosło żadnych skutków, ponieważ Dyrektor Oddziału (uważam że złośliwie) przeniósł jedną osobę z Oddziału do Inspektoratu, czym automatycznie zablokował etat. 30 czerwca 1981 roku dowiedziałam się, że umowa nie zostanie więcej przedłużona. Wcześniej nie uprzedzono mnie o tym i tak 11 miesięcy mojej pracy poszło w „sinią dal”. Straciłam urlop, nie miałam żadnych świadczeń przysługujących pracownikom; po prostu nagle zostałam bez pracy.

WIESŁAWA RAINKO  
Łomża

STANISŁAW  
ZIELIŃSKI

# zabe- czmy razem

Od kiedy mleko poszło w górę, do 14 zł za litr, jego dostawcy uważniej patrzą na ręce zlewniarza. W Kossakach Nadbielnych w gminie Rutki — nawet na dwóch: Grodzkiej i Kuleszy. Uważnie patrzą i podejrzliwie... Podejrzenie tym większe, że zamiast jeden drugiego kontrolować, to oni ze sobą się dogadali. Cała wieś wyleganie przeciwko nim na zebraniu — zapewniał przypadkiem napotkany mieszkaniec Kossaków. — Przecież to jawna zdrada. Zamiast pilnować obowiązków i interesów dostawców, oni zaczęli razem czynić pomyłki w naliczaniu tłuszczu, wpisywaniu litrów mleka do wykazów. Mało tego; jeszcze wazyli się o godzinę później otwierać mleczarnię, niż to porządek życia przewiduje w Kossakach. A u nas, wiadomo, porządni gospodarze, potrafią liczyć i nikomu jeszcze nie dali się wykołować.

Istotnie. Na zebranie przybyli wszyscy. Z którego domu nie mógł chłop przyjść, bo zagrzebał w wieczornym obrządku, to baba opasała się niedzielnym fartuchem, aby po ludzku wyglądać i przybiegła. Nie dla wszystkich starczyło miejsc — na długich, drewnianych ławach w chałupie sołtysa. Ostatni zatrzymali się więc w progach, a nawet na dworze pod oknami. Tak właśnie jest w Kossakach Nadbielnych, w gminie Rutki, bo niepowetowana strata wychodzi dla całego obozu. Więc żeby formalności stało się zadość i nikt nie czuł się pominięty, czy celowo niezauważony, w obecności pana prezesa z Wojewódzkiej Mleczarni, przewodniczący zebrania odczytał każdego po imieniu i nazwisku. Zajęło to sporo czasu, ale właśnie w Kossakach co się już robi, to dokładnie. Pewnie, że można było puścić listę po izbie, żeby każdy podpisał, lecz jeszcze mogłaby się znaleźć jakaś szuja i czyjś podpis podrobić. A głosu nie sfalszujesz. Klóćli się przecież, i na rozprawach sądowych świadkował przeciwko sobie; nie raz, i nie dwa.



Zaraz po ustaleniu listy obecności, posypały się pierwsze zarzuty pod adresem Grodzkiej. Siedziała na łóżku obok Kuleszy, ze spokojem wodząc oczyma po zebranych. Walły się na nią wszystkie ciężary, a głównym ich sprawcą był ubrany w pomarańczowe polo Waław Kotowski. Głos zabierał odważnie, wystąpienia miał coraz dłuższe i ani razu, pomimo usilnych prób, nie dał się wywieść Kuleszy w pole. Palcem groził. Ręką wymachiwał, a gdy i to nie pomagało, niebo do pomocy wzywał: — Oszukaństwo je i więcej nic. Szkoda, że nie są to wojenne czasy, bo walnąbym w tę bandę choć ze dwa granaty i na zawsze byłby w naszej wiosce spokój.

Co chwila odrywał się od ogółu głos: — Już dość błazeństwa nawiedziło wieś. Trzeba tę Grodzką wyrzucić i już! Grzmiał też pod oknem Kotowski: — A na jej miejsce wybrać nowego zlewniarza. Wtórowały mu co rusz inne klawisze zbiorowego instrumentu, bogate w doświadczenia koncertowe: — No niech powie Kossakowski, czy nie mam racji? No niech powie Modzelewski, czy tak nie jest? Każdy może powiedzieć, że jest bałagan i niesprawiedliwość wielka — wszystko przez Grodzką!

I rzeczywiście, Henryk Kossakowski wyraża wolę zabrania głosu: — Mleko przywożę bardzo wczesnie, już koło szóstej. Mleczarnia zamknięta, nasi zlewniarze śpią. Czekałam. Jest po szóstej, siódma. Przychodzą. Zwracam Grodzkiej uwagę, a ta z gębą: — Niech dzioba nie otwiera! Przecież przyszedłam i mleko zaraz przyjmę.

Zniósłoby to oczekiwanie, bo przecież roztropny jest chłop, ale babskiego dźwagolenia nie ścierpiał. Bo jakże

to, on, Kossakowski z dziada po dziada, od jego nazwiska nazwa wsi pochodzi, i jakaś tam zlewniarz nie da mu słowa powiedzieć. Nie swoim imieniu ją zaczęli, tylko interesie wszystkich. Jak on ma wstać rano, co było ma i hektar to ona tym bardziej. Przecież ty mleka pilnuje i jest to jej psi obowiązek!

Skarg przybywa. Zatraca się z sada podawania nazwiska. Mówi jak popadnie i kiedy się da. Chwalami jest tylko harmider, czasem daje się coś wyodrębnić. Konsylium dzieli się na trzy obozy: zmieni Grodzka i Kulesze; wyrzucić tylko Grodzka, bo Kulesza jest stać i sumie dobry chłop. Taktowny. Za wsze wie, co komu powiedzieć, nie tylko jedna przywara; ulega kobiecie. Najbardziej stanowczym jest bóg trzeci — broni i Grodzkiej, i Kuleszy.

Do niego należy najstarszy mieszkaniec wsi, Konopko: — A po co zwalniać? Przecież robią dobrze. Tę go bezprawia Kotowski już nie może znieść: — Konopce wszystko je dobrze, gdzie tylko widzi swój interes! Mleka przynosi trzy, czterelitry, a do wypłaty ma wstawioną 8-9. Każdy by tak chciał; ale nie może myśleć, że ktoś głupi.

Ustalają poglądy: — Ty jesteś głupi, bo nic nie rozumiesz. Masz cielne krowy i dlatego nie dają ci tyle mleka, ile chcesz.

— Jak walnę w ten głupi łeb, tylko płama tłuszczu zostanie na podsadze.

Kotowski porywczy człowiek. Nie raz już za swoje „walenie” odsiedział. Hamuje się w miejscach pu-



bliznych, ale czasami aż ręka się trzęsie, aby solidnie komuś przypaść dzierżyć. Chętnie wyładowałby się na Konopce, bo już mu ponoć za duże nerwow napisał. Z budynkami w drogę włączył i jeszcze próbował wymówić, że tak biegnie granica; rów na łąkach zakopał i śmiał go przekonywać, że jak on pamięta, to nigdy żadnego rowu tam nie było. A Kotowski udowodnił mu to; porzucił świeżo ułożone kępy na rowie, i byłby sprawę wygrał, ale właśnie zgubiła go jego porywczoność — przyłożył Konopce, a ten odwołał się do sądu i wzięli go w obronę.

Poturbował nieźle. A ile przy tym na siebie naklepi, to tylko ten rów zasypany, zwężona droga i stojąca w pobliżu mleczarnia pamięta. Ona też była miejscem i celem zaciętych walk. Funkcję zlewniarza pełnił wtedy jeden z Kossakowskich. Porządku nie wszystko prowadził. Ale jak ludzie zaczęli chwalić, to się trochę chłop rozpuścił. Rozzuchwalił. Pociągnął lubił. Nikt mu tego nie miał za złe, bo robił wszystko akuratnie i o swoim czasie. Mleczarnię skoro świt otwierał. Nie było za niego żadnych kolejek. Szło jak po maśle. Pewnie, że zdarzało się, że ukradł komuś jedną — dwie kreski, ale nie całą jednostkę. Ktoś jednak nie dozwalał tej pocziwoci i chciał przyłapać go na próbkach. Tak się tym zdenerwował, że złapał niedowiarzka za majtki i fajtnął za drzwi. Byłby nawet dalej we wsi spokój, ale wyrzucony zaczął sprawiedliwości szukać i pojechał na skargę do województwa. Przybyli później z zarządu mleczarni nie patrzyli, że dobry zlewniarz. Zdjęli i koniec. A teraz wszyscy narzekają.

Właśnie Kotowski z Modzelewskim i kilku innych zaczęli agitować za tym, by Kossakowski mleczarzem ponownie został. — Przewinienie, jakiego się dopuścił — argumentowali — nie takie znów wielkie. Ten, którego trochę przetrzącał, więcej krzychał, niż go bolało, ale przy tym i rozumu się kapkę nauczył. Na pewno teraz, gdy Kossakowski przejmie mleczarnię, zachowa się wobec niego grzecznie i nie będzie żądał nieuzasadnionej kontroli. Bo czego tu wymagać, gdy sprawiedliwie wymierzał tłuszcz i litry? Tylko przeszkadza się takiemu w pracy. Niech znów zostanie Kossakowski. Kto za Kossakowskim? — Ręce podniosła zdecydowana większość.

Już wydawało się, że zebranie zbliża się ku końcowi. Kulesza przekrzywił nawet nogę na nogę, ale naraz ukradkiem puścił do Grodzkiej oko i wypalił: — Tak gadasz, a gdy Kossakowski był zlewniarzem, to kto do województwa biegł na niego ze skargą? Taka hańba, jak pobicie dostawcy przez zlewniarza mogła się zdarzyć tylko w Kossakach, i tylko wtedy, kiedy w mleczarni pracował Kossakowski!

Tego już za wiele! Zamiast bronić reputacji byłego zlewniarza, do ataku ruszają teraz przeciwnicy Grodzkiej: — Nie może być pod żadnym pozorem — nawołuje ktoś z sieni — bo tak skłóciła wieś, jak nikt i nigdy dotąd. O głupie mleko ludzie sobie skaczą do oczu. Nie byłoby tego, gdyby postępowała uczciwie. Ale przesadziła kantowaniem. Tym, którzy nosili jedną bańkę, stawiała litry podwójnie, a tym, którzy rzeczywiście nosili dwie, jedną gubiła gdzieś po drodze; zaniżała wykazy i rąbała tłuszcz. O swoich tylko pamiętała.

Różne środki ostrożności podejmowali krzywdzeni gospodarze. Jedni zamykali bańki na klucz, pozwalając pobierać próbki jedynie komisyjnie i tylko w swojej obecności. Inni zwracali uwagę, a gdy to nie pomagało, wywierali presję obsypując Grodzką gradem epitetów, co ona odwzajemniała z nawiązką. Kotowski tak ją przez to znienawidził, że pozwolił sobie „tykać” ją nawet tu, przy wszystkich. Większość to aprobowała, bo mle przyjmują każdą sensacją, byle nie szła na ich koszt.

Tylko Kulesza stanął w obronie Grodzkiej, ale też zaraz to skomentowano — Musieli nieźle się powahać, jeśli jej tak broni. — Wybuchy śmiechu przebiegały izbę coraz częściej.

A pewnie, pewnie — zgadzał się Kulesza. — Bronię jej, bo jest moja kochanka. Izba nie dawała za wygraną: — Jego kobiecie donieść! wolali jedni przez drugich — to nie

będzie taki mądry. Szybko znajdzie na niego sposób.

Kulesza nigdy nie stawiał na kłótnię, a zawsze na umiarkowanie, humor. Od razu tym sprawy nie wygrywał, ale rozładował napięcie, stępiał ostrze ataku. Nawet największym jego przeciwnikom podobał się ten żart. Ale miał też cenniejszy atut — przewodniczył zebraniu. Kto za głośno krzychał, za bardzo na jego spótkę najeżdżał, temu przerywał wystąpienie spokojnym, monotonnym: — Niech siada, bo twierdzi nie na temat. Stwarzało to co prawda nowe zarzewie konfliktu, ale — jak zwykle w Kossakach — im więcej waśni, tym lepiej dla całej sprawy — żeby pozostała niezmienną. Tworzyło się bowiem nowy podział, a naruszało stary. I tak, po tym jego refrenie, jedni wołali, aby mówiacemu nie przerywać, grozili prowadzącemu zebranie zwolnieniem i wybraniem drugiego; inni byli zdania, że nie ma o czym gadać, bo wszystko już dawno powiedziane i trzeba tylko wyrzucić z mleczarni Grodzką, bo przecież w tym celu się zeszli.

Sołtysowa z mężem obstawali, aby nadal przyjmowali mleko ci sami zlewniarze: — O! Kulesza, Kulesza może być — zagrzmiła za nimi izba — ale Grodzka won! Kulesza zaś nie godził się na żadną inną spótkę. — Tylko z nią, albo wcale — powiedział uparcie.

Targi przeciągały się. Optymalny kandydat, Kossakowski też nie dał się namówić, choć Modzelewski i Kotowski wręcz zmuszali go do wyra-

to jeszcze większą hańbę sprowadzi na naszą wieś. Żadnego uznania, nie będziemy mieli. To już lepiej wozie mleko do sąsiedniej wsi, jak nie możemy się dogadać.

Z początku było trochę protestów: Bo jakże to, mleczarnia jest swoja, a do obcych pchać się ze swoim mlekiem? Toż śmiech pójdzie na całą parafię. Znowu więc zaczęto podawać nowe kandydatury. Z jednego skrzydła, z drugiego — sprawiedliwie. Jak zgadzał się Kossakowski, to wycofywał się proponowany jego pomocnik. Wybrali pomocnika, to znów nie zgadzał się Kossakowski. Starzy gospodarze wręcz prosili młodszych o to, by zgodził się ktoś z nich poprowadzić dalej mleczarnię. Ale ci tylko głowami kręcili, rozglądali się po izbie, a czas płynął. Jakby coraz szybciej. Zegar ścienny trzymał się na dwudziestej trzeciej i dalej ani rusz. Prezes z wojewódzki próbował ratować sytuację — zafatwa także padał już z nóg. Wtrącał się, co rusz doradzał, a w końcu zaczął najuprzejmiej prosić, aby byli łaskawi zdecydować się wreszcie na kogoś, bo o nie ma przecież tylko Kossaków. Nikogo to nie wzruszyło. Gardiowali wprawdzie coraz wolniej, ale wytrwale: Kulesza nie chciał być z nikim innym tylko z Grodzką; Kossakowski nie mógł dobrać sobie współnika, a sam być nie chciał, bo za dużo roboty w polu i



zenia zgody. Wreszcie jeden z nich nie zdzierzył i palnął przy wszystkich: — Jeśli nie chcesz być, to po cholere zwolaliśmy to całe zebranie i gardujemy za tobą jak głupie? Od śmiechu znów zatrzęsła się cała izba. — Wyszło szydło z worka, wyszło — wołał Konopka. — Zmówili się i chcieli zwalić Grodzką, uczciwą kobietę.

Kotowski już szykował pięści, ale głos Grodzkiej go uprzedził: — Tyle się mówi na mój temat, a to między innymi dlatego, że nie pozwalałam dolewać wody do mleka, bo wiem, że w mieście pija je również ludzie. Dlatego tak skacze tłuszcz? — Bo raz zbiorą śmietanę, innym razem nie. Skutki są widoczne, bo próbki pobieram dosyć często i zwykle niespodzianie.

— A widzisz, a widzisz, jak przygadała — entuzjastycznie wyrwali się sołtys z sołtysową, Konopka i kilku innych. Kotowski jednak wyprowadziło to całkiem z równowagi. Przecież to skandal obwiniać tak znacznych gospodarzy Kossaków, którzy każdą kroplę mleka uczciwie niosą do mleczarni, by dać jak największą produkcję do miasta. Grzmiał niczym piorun, a Modzelewski i Kossakowski zdecydowanie mu w tym pomagali, dołączając co chwila swoje: — Jak ta cholera u nas zostanie,

nie zdąży się obrobić; pozostali za żadne skarby nie dali się wypchnąć na ten stołek.

Kilku gospodarzy opuściło już zebranie, machając ręką i zlorzczac, że w Kossakach zawsze tak trudno jest dogadać się. Same kłótnie kwitną i zgody ani na pokaz. Zbliżała się już godzina pierwsza w nocy. Wreszcie ktoś rozsądnie odezwał się z sieni: — Jeśli nie ma nowych kandydatów i nie chcemy, żeby dalej byli dotychczasowi, trudno, będziemy wozie mleko do wsi sąsiednich.

Poczęli opuszczać izbę raczej ze zmęczenia, niż zakończenia sporów. Prezes z województwa, nie bez zdziwienia wprawdzie, ale z ulgą rozwiązanie zaakceptował. — Trudno powiedział. Nie chcecie swojej mleczarni, to będzie stała pusta.

Odwiedzałem później Kossaki Nadzielne jeszcze wielokrotnie. Swary i waśnie owocowały bujnie dalej. — Gdybyśmy tak kiedyś pojechali razem na targ — zwierzył się jeden z mieszkańców — i jednocześnie wymienili swoje głowy z baranami, to przynajmniej potrafilibyśmy biecć jednako. Oj, zabeczelibyśmy!

Jako czytelnik towarzyszę „Kontaktom” od pierwszej chwili ich powstania (mojej uwadze umknęło jedynie kilka numerów, gdyż przez pewien okres przebywałem na leczeniu w sanatorium w innym regionie kraju) i z satysfakcją mogę po roku stwierdzić, iż moje łomżyńskie pismo nie tylko nie ustępuje wychodzącym w innych regionach, ale pod wieloma względami je przeraża. Zdanie takie wypowiadać o całej odpowiedzialnością, jako że dużo podróżuję, więc mam okazję do porównań. A właśnie wówczas najbardziej ujawniają się wszystkie zalety i wady gazety. (Dziwi mnie tylko, że wśród tylu listów od czytelników, jakie publikujecie nie znalazłem ostatnio ani jednego, w którym ktoś chciałby się z Wami podzielić swymi uwagami na temat tygodnika). A oto garść uwag, którymi chciałbym się podzielić, nie tylko z Redakcją. Według mojego rozważania „Kontaktom” udało się przekroczyć zaczarowany krąg wąskiego regionalizmu. Mam tu na myśli choćby cykl — „Dylemat polski”, przybliżający dziesiątki mądrych przemyśleń nad naszą teraźniejszością i przyszłością, czy klub „Starcia”, a zwłaszcza zawartą w nich dyskusję na temat „polskich zakrętów”. Od razu podziękować też muszę za umożliwienie poznania dokumentacji fotograficznej na ten temat. Dla mnie i, sądzę dla wielu, była to jedyna okazja do poznania cząstki prawdy o tamtych latach. Szkoda tylko, że zdjęcia w niektórych numerach były tak zamazane, ale tu wina nie leży chyba po stronie redakcji. Za równie dobry pomysł uważam cykliczne podejmowanie przez Was problemów ściśle już związanych z naszym regionem i województwem; w reportażach, interwencjach i „Bez pardonu”. Po tym, co dotąd powiedziałem nie pozostaje mi już nic, tylko powtórzyć słowa z jednej z Waszych okładek „Tak trzymać”. Czego serdecznie życzę całemu Zespołowi.

**JAN KACZMARSKI**  
Łomża

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w „Kontaktach” nr 18/45 str. 9 z dnia 10.05.1981 r. dotyczącą pracy inkasentów uprzejmie wyjaśniamy, że na podstawie tekstu w/w notatki nie możemy jednoznacznie ustosunkować się do stawianych tam zarzutów, ponieważ nie wiadomo o jakim inkasencie chodzi, nie podano tam również w jakim dniu zdarzenie miało miejsce i u którego odbiorcy.

Wyjaśniamy także, że elektromonterzy urządzeń rozliczających nie mogą na własną rękę wyłączać dopływu energii elektrycznej. Dokonują tego tylko na polecenie kierownictwa Rejonu Energetycznego. Wobec braku bliższego określenia zaistniałego faktu zwrócono uwagę wszystkim monterom urządzeń rozliczających RE Łomża na właściwe zachowanie się w stosunku do odbiorców.

Za powstałe nieporozumienie tą drogą serdecznie przepraszamy mieszkańców Rutek.

**mgr inż. BOGDAN SIUDA**  
Dyrektor Zakładu Energetycznego w Białymstoku

W dniu 30.01.1981 r. zwracałem się pisemnie do Związku Spółek Wodnych w Grajewie o naprawę urządzeń melioracyjnych na moich użytkach rolnych położonych we wsi Koneckie D. Do chwili obecnej napraw tych nie wykonano. W związku z powyższym część gruntów ornych uległo zamianieniu na nieużytek, część zaś na skutek nadmiernego uwodnienia nie nadaje się do właściwego użytkowania. Z tego powodu straty ponosi nie tylko moje gospodarstwo, ale także cała gospodarka żywnościowa kraju.

Należy jeszcze nadmienić, iż Związek Spółek Wodnych w Grajewie, który nie interesuje się naprawą urządzeń melioracyjnych coraz bardziej doskonałym systemem ściągania należności na konserwację tych urządzeń.

**CZESŁAW BAGIŃSKI**  
Koneckie Duże, gm. Szczuczyn





## 9 grudnia – wtorek

Przed trzema laty okrężnymi chwykami udało nam się „zadomowić” w Konstancinie. Dwukrotnie byłam tam na dłuższym leczeniu, a teraz pozostaję pod ścisłą kontrolą Poradni Rehabilitacyjnej. Po ostatniej, w listopadzie, zakwalifikowano mnie na leczenie operacyjne. Wcześniej lekarz orzekł: „To nie moje plecy”. Codziennie czekam teraz na wiadomość. Na razie jednak nie ma żadnych wiadomości.

## 11 grudnia – czwartek

Z trudem zaoszczędziłyśmy z mamusią trochę pieniędzy. Nasze skryte marzenie — kupić dywan, abym bez skrupowania mogła zaprosić do siebie koleżanki. Tak więc już drugi miesiąc w dni przyjęć dywanów godzinami stoję w kolejce mama, a po

wiadoma. Mama próbuje odwieść mnie od mojej decyzji. „To przecież kregosłup i jeśli coś się nie powiedzie, co ja wtedy z tobą poradzę? Jesteś zdolna i pracowita, dobroć serca wyrówna ci niedostatki postawy. Lepiej być mądrym niepełnosprawnym, aniżeli „okaleczoną umysłowo figurką”.

Pada wtedy moja — być może nieprzemyślana — odpowiedź: „Inteligencji nikt nie mierzy, dziś liczy się cwaniactwo, widziałas to wśród dywanów, a »bagaż« na plecach każdy widzi i komentuje.” (Te określenia: walizka, багаж, typowe dla chylickich dzieci, dla zatuszowania gruboskórnego garbu). Długo wiodłyśmy dysputę, w końcu mama zgodziła się, że decyzja należy do mnie.

## 13 grudnia – sobota

Przedemną daleką podróż. W szkole pożegnałam się z wychowaw-

ciem — nieodpłatnie. A przecież nie musiała. Dziękuję więc Jej — *danke!*

Klasa również przyjęła mnie życzliwie. Kiedy teraz myślę, że z powodu operacji miałabym stracić z nią kontakt... Nie, lepiej nie myśleć! Lepiej przygotować się do podróży. Ustaliliśmy bowiem z mamą, że najpierw „wpadniemy” do Konstancina dla zbadania przyczyn, dlaczego przerzucono mnie do Warszawy. Jeszcze dwa wieczory w domu, jeszcze dwa razy powtórzę ćwiczenia korekcyjne, a potem grunt to nie zalaemywać się.

## 14 grudnia – niedziela

Ostatnie zapiski w domu. Jak długo mnie w nim nie będzie? Według obserwacji wyniesionych z Konstancina nieprędko stanę na własnych nogach. Ale „co ma wisieć — nie

stkimi, których los skrzywdził wcale nie z ich winy. Ale dzisiaj cieszyć się jeszcze mogę domem, utrwalić jego obraz na te długie dni, gdy będę poza nim. Ostatnie przygotowania, ostatnie ćwiczenia korekcyjne, bo chyba po operacji moje życie przejdzie się codziennie o godzinę...

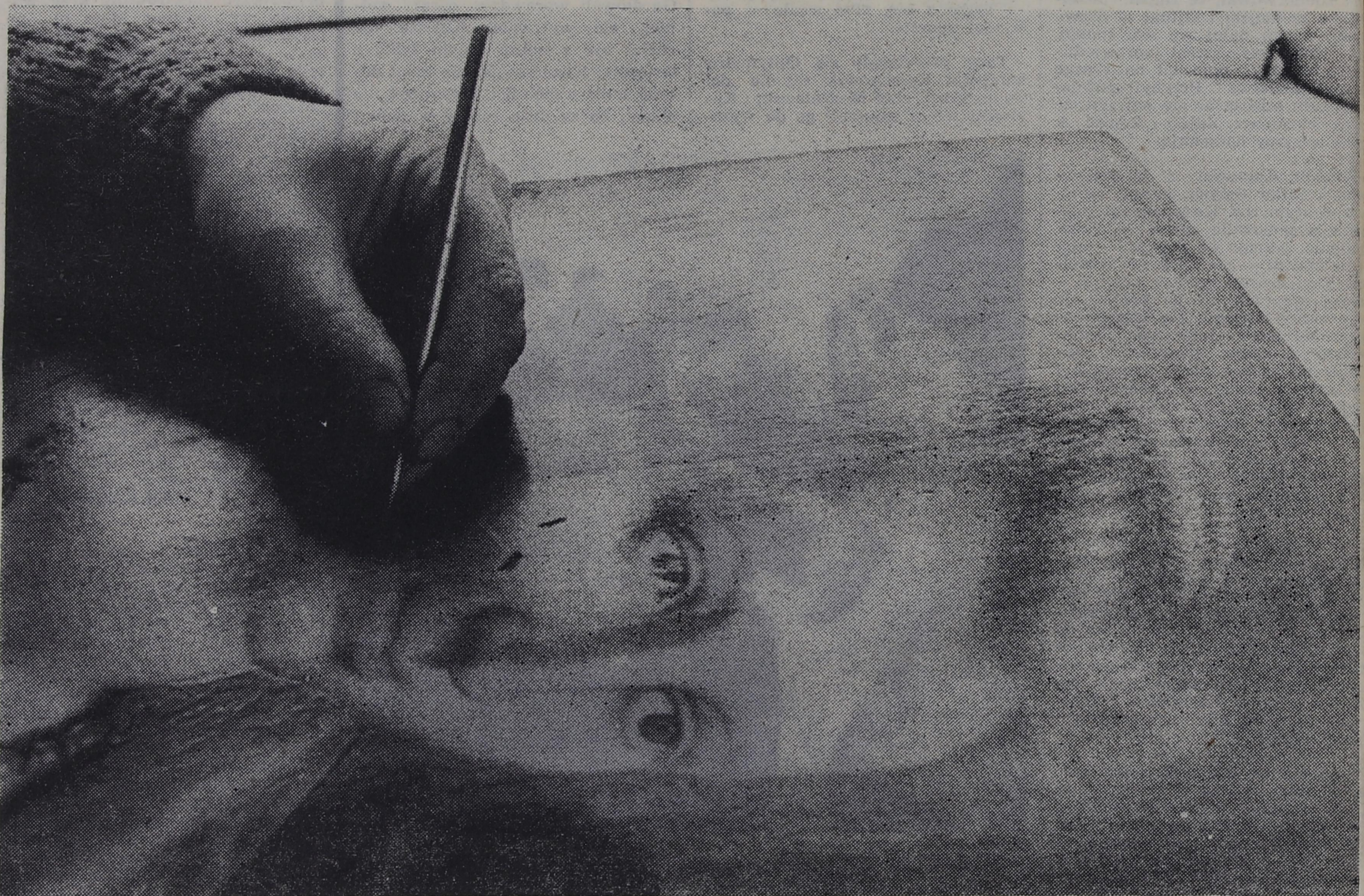
## 15 grudnia – poniedziałek

Już w Warszawie. Godzinę czekamy na tramwaj, bo strajki na ulicy w moim odczuciu chyba nie są potrzebne. Takie preludium! Wcale nie ciekawie wita mnie stolica.

W Konstancinie dr Tabjan wyjaśnia zagadkę. Na operację w Konstancinie czekałabym może jeszcze rok, a z tym czekać nie można. Zapewnia mamę, że wybrał dla nas co najlepsze, ustawia duchowo, oferując klinikę wojskową na ul. Szaserów. Czas nagli, bo mama nie ma żadnych znajomości w Warszawie i musi wrócić do domu. Korzystamy więc z taxi i wkrótce jesteśmy w klinice. Znowu pech.

Do kliniki należy mieć skierowanie, a my takiego nie mamy. Telegram nie wystarcza. Skierowania nie wystawiła ani lekarka w Łomży, która dała kartę przejazdu, ani doktor w Konstancinie. Wypada więc wracać do Łomży, po skierowanie. Ma-

# okaleczona



zajęciach w szkole wspomagamy ją z siostrą (siostra ma 13 lat i w domu istnieje jako Wojtuś). Ale kupno dywanu w Łomży można życiem przypłacić.

Wokół słyszy się narzekania na niedostatek, ale w kolejce po dywany wiele razy widziałam te same osoby, które skutecznie wyszły z kolejki z dywanami. „Czarny rynek”, czy tyle pomieszczeń ma jedna rodzina? A nam się nie udaje zdobyć ani jednego. Jesteśmy na to za słabe i nie mamy tzw. „chodów”. Tym razem też z niczym wróciliśmy do domu.

Zmęczone, głodne, rozżalone — ta walka o dywany przypomina walkę zwierząt nie umiejących panować nad swoimi instynktami — i... ta wiadomość... sążnisty telegram z Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie; „W związku z ustaleniami wykonanymi w porozumieniu ze STOCER w Konstancinie podejmujemy się leczenia dziecka pod warunkiem, że dostarczone ono zostanie do 15.XII.80 r.” Twardo stałam przy operacji, teraz załamalam się. Przede wszystkim jednak dlatego, że to Warszawa, a nie Konstancin. W Konstancinie prawie wszystko już znam, Warszawa to wielka nie-

czynią i koleżankami. Współczuły mi, obiecały pisać, a pani ze Izami w oczach życzyła mi szybkiego powrotu do zdrowia i do „szkolnej czeladzi”. Wspaniała ta nasza pani! Nie rozumiem więc, dlaczego w dobie odmowy wszystko wrzuca się do jednego gara, by to usmażyć, nie wartościując i nie odróżniając ziarna od plew. Przecież nie wszystko i nie wszyscy podlegają degradacji. Jest wielu wartościowych ludzi, którzy widzą i w innym człowieku, i tak jak nasza pani służy radą, wsparciem, a dziś tak trudno o dobre słowo.

Pamiętam, klasę I L.E. rozpoczęłam w październiku. Wszystko było dla mnie nowe. Ale to nowe przyszło mi z pomocą. Koleżanka donosiła mi do domu zeszyty, a pani wychowawczyni — nauczycielka języka niemieckiego — pomogła mi w odróżnieniu zaległości, a właściwie wprowadziła mnie w niemieckie

# figurka

utonie”. Dziś w Łomży pogrzeb czteroletniej dziewczynki, która zginęła na jezdni. A zginęła przez ludzką bezmyślność, nieodpowiedzialność, bo kierowca był pijany. Dla takich ludzi byłabym surowym sędzią, gdyby danym mi było przywdziać toge. Togi nosić nie będę, ale swój sąd wydać mogę. Dlaczego tylu pijaków mija się na ulicach? Dlaczego cukier wydziela się na kartki, ostatnio w kilometrowych kolejkach, a alkoholu jest na razie pod dostatkiem? Alkohol rujnuje rodziny, wypacza człowieczeństwo. Zreformowano szkolnictwo, dokonuje się przemian czasami na siłę w różnych dziedzinach, a nie umie się skutecznie walczyć z pijaństwem. Gdyby to ode mnie zależało, zlikwidowałabym całą działalność alkoholową. Ale to na marginesie, bo przede mną inny problem. I nie tylko przede mną. Coraz częściej myślami jestem z tymi wszy-

ma jest ogromnie zmęczona, ale nie daje za wygraną. Ostatecznie każą nam we wskazanym miejscu (oczywiście w klinice) odszukać lekarza i poprosić o skierowanie. Czyżby zadaniem kliniki była zbiórka makulatury? Oj, lubi Polska biurokracizm! Bo jakż jest sens szukać lekarza w klinice, aby otrzymać do niej skierowanie? Przecież telegram był wystarczającym dowodem na potrzebę leczenia. Obserwowałam z boku to starcie. W końcu panie rejestratorki uznały się widocznie za pokonane, wysyłając po skierowanie sanitariusza, a mamie kazaly odpocząć. Cała afery zakończyła się obustronnym zrozumieniem, udokumentowanym uśmiechem.

Jedno chwilowe ustępstwo mamy i wróciłybyśmy do Łomży po skierowanie. Incydent ten wzbudził we mnie przekonanie, że „gdy się chce,



to się może" i że nie należy się bier-  
nie poddawać.

Tak więc po wielu perypetiach  
dnia, stałam się wreszcie jedną z pac-  
jentek kliniki. Na koniec zahartowa-  
na, nie zrażalam się już odburkiwa-  
niem salowej i pielęgniarek. Jestem  
na oddziale ortopedii dziecięcej, jak  
matka wśród czeladki maluchów.  
Wieczorem, gdy nie mogę w nowym  
otoczeniu zasnąć, robię te zapiski ku  
wspomnieniu.

17 grudnia — środa

Samopoczucie w szpitalu dość  
swojskie, jako że nie pierwszy raz  
w szpitalu przebywam. Przede wszy-  
stkim klinika, zadziwiła czystością.  
Czy dlatego, że to w stolicy, czy też,  
że to klinika wojskowa? A może i  
jedno i drugie. W każdym bądź ra-  
zie, jakże odmienne warunki niż cho-  
ciażby u nas w Łomży.

Tylko personel prawie wszędzie  
jednakowy. Uśmiech nie tylko za uś-  
miech. Ale nie widzę w tym nic  
dziwnego. Ci ludzie sami przecież o  
nic nie proszą. Myśmijmy ich sami  
takie tak zrobili. I naraz mamy pre-  
tensję, że ktoś nie tańczy w rytm  
naszego grania. O ile łatwiej byłoby  
zdobyć ludzką zyczliwość właśnie tu,  
w szpitalu, bez tych dodatkowych  
wygibasów. Trzeba tylko trochę o-  
bopólnego zrozumienia. Nie lubię  
modnego dziś pojęcia „odnowa”. Chcę  
tylko miernikiem swoich 17 lat  
stwierdzić, że nie wszystko w nas  
uległo zezwierzczeniu i trzeba umieć  
wskrzesić śpiące być może w nas  
wszystkie zalety ducha ludzkiego, nie  
doszukiwać się we wszystkim bez  
wyjątku wad i niedostatków. Kiedy  
widzę pochyloną nad sobą postać le-  
karza, muszę wczuć się i w to, że  
i on jest może mężem i ojcem, i nie  
obce mu są codzienne troski; że pie-  
lęgniarka roznosząca leki to często  
matka, dla której los dziecka w szpi-  
talu kojarzy się często z jej wła-  
nym dzieckiem. Chcemy odnowy,  
zaczniemy ją w pierwszym rzędzie od  
siebie.

Boję się operacji, ale wierzę tym  
ludziom, że zrobią wszystko, by było  
jak najlepiej. Mam już za sobą sporo  
badań. Uporządkuję w myśli  
pierwsze spostrzeżenia i zabiorę się  
do pisania listów. W żadnym jednak  
nie będę się zgrywać ani na boha-  
terkę, ani na męczennicę.  
Chcę być sobą. Pierwszy list  
mam już za sobą. Oczywiście —  
pierwszy do domu — do mamusi i do  
„Wojtusia”. A potem P.S. — bo  
właśnie przyszedł doktor i powie-  
dział, że jutro będę operowana. To  
już jutro!

To już dzisiaj — 18 grudnia —  
czwartek.

Ciekawe, czy szpital zawiadomił o  
tym mamę. Chyba nie. I to byłoby  
lepsze. Po co ma dodatkowo przeży-  
wać. Ma przecież i tak niemało trosk  
z mego powodu. Ostatnie przysto-  
wania i... film się urywa...

17 stycznia 1981 r. — sobota

Już po wszystkim! Już jestem zno-  
wu w domu, już mogę nawet pisać.  
Nie śnię. Ja żyję i piszę. W gipsie.  
I do mieszkania weszłam o własnych  
siłach, tylko podtrzymywana przez  
sanitariusza z łomżyńskiego pogoto-  
wia. Niechże więc najogólniej, w  
wielkim skrócie powspominam...

Jak już wspominałam, operowano  
mnie 18 grudnia. Potem, nieświadoma  
myśli i zdarzeń, leżałam zdana  
całkowicie na personel oddziału.  
Grymasiłam jak małe dziecko, prze-  
korna, czasami wręcz złośliwa, cho-  
ciaż uzależniona. Ta przekora tkwi  
we mnie i czasami nie umiem nad  
sobą zapanować. Ale pielęgniarki to-  
lerują moje dziwactwa.

Pierwsza wizyta „domu” w pierw-  
szy dzień świąt Bożego Narodzenia.  
Od operacji minął już tydzień, a ze  
spojrzenia najbliższych wnioskuję, że  
w niczym jeszcze nie przypominam  
człowieka. Nie nęca mnie wcale żad-  
ne smakołyki domowe. Wciąż jesz-  
cze jestem w jakimś dziwnym le-  
targu.

Zaraz po świątach do mojej sali  
przybyła panienka (19 lat) na wyje-  
ście Harringtona. Ukończyła tylko  
szkołę podstawową, bo wstydziła się  
ze względu na swoją sylwetkę ucze-  
szczać do szkoły średniej. Jest moją  
imienniczką, nawet losy nasze są  
dziwnie zbliżone. I oto ona wpajała  
we mnie zasadę, by nie kontynuować  
nauki. Dzisiaj dziwne wydają mi się  
jej zasady. Ale wtedy gotowa byłam  
je zaakceptować. Na szczęście po kil-  
ku dniach przybyła na oddział nowa,  
koleżanka z Warszawy, towarzysząca  
niedoli. Ta na odwrót — przekony-  
wała mnie, by się nie załamywać,  
najgorsze mam już za sobą, za rok  
będę jak inne dziewczęta. Zrozu-



miałam. Dziś nie chcę nawet wie-  
rzyć, że mogłam poddawać się tak  
dziwnym nastrodom, że otoczenie bę-  
dzie się zgrywać na mój widok. O-  
pancerzona gipsem! Dziś wstydę się  
przyznać, że mogłam być aż tak nie-  
ufna do otoczenia. Dziś od nowa  
przyzwyczajam się do każdego sprze-  
tu. Sama ubrałam się. To już dużo.  
Chciałabym być czynna, więc przy-  
najmniej przez to pisanie włączam  
się do życia. Trochę dziwnie mi się  
pisze, powoli, szybko się męczę, ale  
myślę, że za kilka dni wyzwolę się  
z chorobliwej obsesji, a kiedy pójdę  
do szkoły, będę się starała niczym  
nie dać odczuć, że na razie jestem  
trochę inną niż wszyscy. Jakże się  
ucieszyłam, kiedy mama powiedziała  
mi, że redakcja „Kontaktów” prze-  
dłużyła o całe dwa miesiące termin  
składania nastolatkowych wynurzeń.  
W ten sposób pomyślano i o mnie,  
więc ogromnie się cieszę, że mogę  
wnieść jakąś czastkę także i ja. Więc  
jeszcze wracam do „warszawskich”  
wydarzeń.

W szpitalu zupełnie nie wstawałam  
z łózka, a mimo to nie odczuwałam  
nudy. Czas miał wyjątkowo szybko.  
Kiedy zdjęto mi szwy, postanowi-  
łam, że to ode mnie zależy czas pi-  
nizowania. Chciałam jak najszybciej  
być w domu, bo wiem jak mamusię  
męczą podróże, a przyjeżdżała do  
mnie dwa razy w tygodniu. W do-  
datku jeździła pociągami, bo tak ko-  
rzystniej ze względu na „kieszki”.  
A nasz łomżyński „express” trasę  
Łomża — Warszawa, długości nie-  
spelną 150 km, pokonuje w pięć go-  
dzin. Każda wizyta mamusi wzmac-  
niała mnie na duchu, a jednocześnie  
była dodatkowym bodźcem do kształ-  
cenia woli.

18 stycznia — niedziela

Odwiedzają mnie koleżanki — to  
znaczy, że nie jestem sama. Nie je-  
stem sama, bo kiedy wybierałam się  
do kliniki, koleżanki zabrały moje  
zeszyty do sporządzania notatek z  
lekcji. Nauczyciele zezwolili na ten  
„wybryk” w moich zeszytach, a mnie  
samej bardzo ułatwiło to nadrobie-  
nie zaległości. Właśnie dziś wertuję  
już podręczniki. Gdyby tylko nie  
chciało się tak spać — w dzień oczy-  
wiście. W szpitalu cierpiałam na bez-  
senność, w domu na odwrót — spa-  
łabym bez końca.

20 stycznia — wtorek

Dosyć leniuchowania! Po ponad  
miesięcznej przerwie znowu „ru-  
szam” do szkoły, oczywiście ze świąt,  
tzn. z mamą pod rękę. Idziemy jak  
łomżyński „express”. Jeżeli przed-  
tem trasę do szkoły pokonywałam w  
15 minut, to dzisiaj trzeba mi na to  
pół godziny. Zmęczyłam się przy tym  
niesamowicie, ale za to jestem w kla-  
sie wśród koleżanek i kolegów (bo  
mamych ich w 37 osobowej klasie  
dwóch). Gromkie wiwaty po polsku  
i po niemiecku, gdyż pierwsze spot-  
kanie nastąpiło na lekcji języka ni-  
emieckiego. Sprawdzam poziom pa-

mięci i chyba operacja nie pociąg-  
nęła za sobą żadnych następstw u-  
bocznych.

Młodsza siostra korzysta z ferii zi-  
mowych. Przychodzi więc po mnie  
do szkoły, bo mama coraz częściej  
nie może wszystkiemu podołać. Aby  
kupić cośkolwiek, godzinami trzeba  
stać w kolejce i chociaż mama od lat  
jest inwalidką, nigdy nie korzysta  
z przywileju, by kupić coś poza ko-  
lejnością. Uważa, że czas każdego z  
nas jest jednakowo cenny i tylko lu-  
dzie ciężko poszkodowani powinni z  
tego przywileju korzystać.

24 stycznia — sobota

Chodzę coraz sprawniej, więc i  
myśli żywsze, chociaż nie zawsze  
technę optymizmem.

Nie o takiej Łomży marzyłam, gdy  
byłam jeszcze mieszkanką wsi. Dziś  
zatarła się różnica między miastem  
a wsią, jeśli chodzi o zapatrzenie,  
bo i tu i tam jest krytycznie. Zasta-  
nawiam się nad informacjami w  
sprawie wykonania planów. Albo in-  
formacje są fałszywe, jeżeli plan wy-  
konano, a towarów nie ma na ryn-  
ku, albo... Właśnie, to drugie albo.  
Wzbogacamy swój język o nie  
sprawdzonej przydatności neologiz-  
my. W dodatku neologizmy ze świa-  
ta zwierzęcego. Bo coż to znaczy  
„chomikowanie”? Gromadzenie za-  
pasów, w dodatku bez wyraźnego za-  
potrzebowania.

Przez kilka lat w mieście dostrze-  
głam, że w Łomży zawsze czegoś bra-  
kuje. Brakowało w sprzedaży pasty  
do obuwia. Uzasadniono: bo nie ma  
jej w co pakować Brakowało zapal-  
ek, papieru toaletowego itd. Braki  
te były jednakże przejściowe. Ale te-  
raz naraz zabrakło wszystkiego. Nie  
ma mydła, mięsa, wędlin, drobiu, ka-  
wy, zapalek, proszków do prania i  
któżby zdołał wyliczyć to wszystko,  
czego w sklepach brakuje. W skle-  
pach cukierniczych królują jeszcze  
herbata, ale lizaka już nie uswiad-  
czy. A spróbujcie w Łomży kupić od-  
powiednie buty. Chyba na rynku, ale  
za 1500 zł, a nie za 540 zł.  
Mnie udało się kupić kozaczki  
za 540 zł, ale moja kuzynka za takie  
same zapłaciła na rynku 1500 zł.  
Jeśli więc coś się w sklepie pokaże,  
ludzie kupują na zapas, czy też nie;  
ot — po prostu chomikują.

Może więc lepiej byłoby zastoso-  
wać metodę: zlikwidować sklepy, a  
towar dostarczać wprost z magazy-  
nów do spiżarni domowych. Jakże  
byłyby oszczędności! Mniej sklepów,  
bo zostałyby tylko te, z których to-  
wary nie mogą być chomikowane,  
sklepy zamienić na mieszkania, bo  
mieszkań też brakuje... Zarty na  
stronę, bo to przecież sprawa poważ-  
nej wagi.

Nie, stanowczo nie pasuje to cho-  
mikowanie do cywilizowanego czło-  
wieka. To przecież niemożliwe, by  
produkcja stała w miejscu, bo ludzie  
pracują, a jeśli pracują, to coś w ży-

ciu z siebie dają, tylko gdzie to coś  
się obraca?

Na szczęście — na razie nie brak  
chleba, ale chyba tylko dlatego, że  
— czym byłby on po dłuższym ma-  
gazynowaniu? Minimum socjalne?  
Jakże różne dla różnych grup! Jedni  
mają wille i mieszkają w mieszka-  
niach spółdzielczych, inni gnieźdza  
się kątem w wynajętych klitkach,  
wiążąc koniec z końcem i nie stać<sup>ich</sup>  
ich na chomikowanie. Mówi się o nie-  
dostatkach na wsi, ale z czego te nie-  
dostatki wynikają?

Rolnik — ojciec wyposażył syna  
czy córkę w mieście w samochód,  
buduje mu wspomnianą wille, na  
zimę zaopatruje w produkty rolne,  
a sam potem wegetuje. Za to córka  
odbierająca plody rolne dziękuje sło-  
wami: „Gospodarzu, podjedźcie bli-  
żej, to będzie wam lżej znosić wor-  
ki”.

Na naszym osiedlu „Jantar” nie-  
mało jest takich zmieniających li-  
muzyny jak rękawiczki, podczas gdy  
ich rodzice serwują na rynku parę  
jajek za 20 zł. Dlatego też dobrze,  
że wreszcie ruszyła „Solidarność”,  
by przynajmniej w części ukrócić  
samowolę „pierwszych po Bogu”.  
Zmęczyłam się, ale moja natura nie  
pozwala mi na rolę biernego obser-  
watora zdarzeń.

30 stycznia — piątek

Ostatni dzień zajęć szkolnych przed  
feriami. Inni cieszą się, bo korzy-  
stać będą z wczasów, z obozów. Ja  
nie pojedę nigdzie. Ostatni raz ucze-  
stniczyłam w obozie wędrownym bę-  
dąc w VI klasie.

Na długo jeszcze wszelka myśl o  
wycieczkach będzie dla mnie zakaza-  
na. Będę liczyć dni, gdy zdejmą mi  
pierwszy gips, opancerzę nastę-  
pnym. Maturę będę już zdawała w  
gorsecie. Oczywiście, że wtedy poz-  
wolę pójść sobie tylko we własnej  
skórze, ale to jeszcze daleko. Tym-  
czasem jutro nie muszę słuchać bu-  
dzika. Jutro świętujemy. Tylko  
„Wojtuś” idzie do szkoły.

12 lutego — czwartek

Z trybuny nowy premier — gene-  
rał zwraca się do narodu o 90 spo-  
kojnych dni. Czas najwyższy! Już do-  
syć strajków. Czas zakasać rękawy i  
zabrać się do solidnej roboty. Tył-  
ko pracą możemy przezwyciężyć  
trudności. Ramię przy ramieniu, so-  
lidarny i niesolidarny. Śmiesz mi  
to obnoszenie znacznikiem swojej  
przynależności. Przynależność jest  
jedna, wspólna — Polska. Nasza  
przynależność — uczniowska.

Więcej uczciwości, mniej cwania-  
ctwa. Umiejmy wyselekcjonować co  
dobre, a o złe. Ten zryw „Solidar-  
ności” był potrzebny, ale ostatnio za  
bardzo wszystko było na — hura.  
Atak na wszystko i na wszystkich,  
bez wyjątku. Na szkołę i na nauczy-  
cieli, bo źle wychowywali. A gdzie  
był dom, że całą winę zwałało się  
na nauczycieli? Czyżbyśmy dotych-  
czas nie widzieli wielu niesprawied-  
liwości? Po co więc ten fałsz i obłu-  
da? Moja mama była nauczycielką.  
Nie należała do żadnej partii, bo u-  
ważała, że nie jakiś znaczek wypelni  
za nią zadanie. Nie ulekała się pogr-  
żek inspektora, który tuż przed  
Dniem Nauczyciela przyjechał do  
szkoły oświadczyć „Koleżanko, czas  
najwyższy...”

No i cóż? Wstrzymano mamie na-  
grode tylko dlatego, że wtedy odm-  
ówiła. Pchało się toto świadomie  
czy nieświadomie, byleby się tylko  
nie narazić tym u steru. A dziś od-  
bija się to na nas. Długie jeszcze la-  
ta po tym incydencie mama prac-  
wała w szkole. Odeszła z niej po u-  
zyskaniu nagrody ministra za pracę,  
nie za przynależność do tej, czy in-  
nej organizacji. Była wierna ideałom  
zaszczepionym w młodości. A ja? Bę-  
dę czerpała z niej wzór — być so-  
bą! Nie we wszystkim będzie dla  
mnie wzorem, ale to już inna spr-  
awa.

22 lutego — niedziela

Dziś świętuję potrójnie: primo —  
niedziela; secundo — dzień imienin;  
tertio — zebranie w szkole, z które-  
go mama wróciła w podniosłym, u-  
roczystym nastroju, z listem poch-  
walnym i moją średnią oceną 4,2. To  
jeszcze niepełny sukces, ale posta-  
ram się o wyższą notę średnią. Cie-  
szą się, ale nie chcę być samochwa-  
łą. Niech mnie ocenią inni, bo wed-  
ług słów Z. Nałkowskiej: „Jest się  
takim, jakim cię ludzie widzą”. O  
to też nie zabiegam. To jest bardzo  
złozone. Chcę być po prostu sobą.  
Najważniejsze mam za sobą — sko-  
liozą mniejszą o połowę.

Nastolatka z Łomży  
(nazwisko znane redakcji)  
Fot. CAF



Beata ma trzynaście lat. Jest nieco ociężała umysłowo. Często widzi się ją w towarzystwie koleżanek. Jest wtedy roześmiana, swobodna. I ładna. Matka mówi, że to niezdolne dziecko. Nie chce się uczyć, latałaby tylko za chłopakami.

Beata ma już za sobą pierwszych mężczyzn. Kochała się ot tak, dla pieniędzy. Ten pierścienek ma od ostatniego. Tanie, odpustowe szkieleko. Beata nie nauczyła się jeszcze wartości rzeczy. Do domu wraca niechętnie. Matka potrzebuje pieniędzy na libacje i jest zła, kiedy córka nic nie przyniesie. Ona by wolała, żeby Beata zarabiała w sposób uczciwy, ale w tej dziewczynie siedzi zło i nie się już na to nie poradzi.

Nie jest takich dzieci, dla których dom nie oznacza domu, matka jest tylko tą, która urodziła, ojciec... bardzo często przypadkowy lub nieznan? Społeczne sieroctwo, to problem, od którego nie ucieknie się przemilczaniem czy wyliczaniem wysokości świadczeń socjalnych.

Brak jednego z rodziców nie musi jednak od razu oznaczać dramatu niekochania, zaniedbania, zniechęcenia. Nie musi, ale nieraz oznacza. Szczególnie tam, gdzie w grę wchodzi ubóstwo materialne.

„Życie moje z mężem to było ciągle piekło. Ciężka harówka, a zapłata — pijackie awantury i kolejne dziecko. Po tym, jak siłą zrobił mi czwartę, uciekłam do rodziców, do Łomży. U nich była ogromna ciasnota, więc pomogli mi tyle, że dali swoje oszczędności na mieszkanie spółdzielcze. Dostałam M-4 z przyspieszenia. Mieszkanie duże. Dzieci mają gdzie biegać, brakuje mebli. Na razie nie pracuję, bo najstarsze dziecko ma dopiero sześć lat. Mam wprawdzie przysądzone alimenty, 2500 złotych, ale rzadko kiedy mogę je ściągnąć. Ta pijanica nie dba o swoją gospodarkę. Dobrze chociaż, że opiekunka pomogła mi załatwić miejsca w żłobku i przedszkolu i znaleźć pracę na jedną zmianę. Jak to wszystko się ułoży, to może dzieci nie będą już takie wygłodzone. Przecież i w przedszkolu coś zjedzą, i ja pieniędzy trochę zarobię.”

#### Szczęście trwało tydzień

Dwudziestosześcioletnia Katarzyna B. widywała swego męża tylko w nocy, a i to widocznie za często, bo w krótkim czasie urodziła pięcioro dzieci. Wychowała je sama, własnymi środkami. Dzieci były zgłodzone, opóźnione w rozwoju fizycznym. Kiedyś do domu Katarzyny B. przyszły, zaalarmowane przez sąsiadów, panie z opieki społecznej. Zastaly dzieci leżące na barłogu ze słomy, zjadające zimne, parowane ziemniaki. W kredensie stało jeszcze pół litra mleka. „To było całodzienne wyżywienie dla piątki dzieci. Wydawało się, że sprawa znajdzie wreszcie oczekiwany finał. Matce załatwiono pracę, dzieci trafiły do Domu Dziecka. Katarzyna B. była zadowolona. Wreszcie — mówiła — nikt nie będzie się nade mną znecał.”

Szczęście trwało tydzień. Mężulek bowiem — znudzony samotnością — sprzedał świniaka, kupił dwie kiecki, trochę jedzenia, sprzątnął i wymalował mieszkanie, a potem zabrał dzieci z Domu Dziecka, a ją przekonał do powrotu przyrzekając, że otąd będzie bardzo dobry. Dobroci starczyło na kilka dni. Katarzyna B. nie odważy się odejść po raz drugi, bo wie, że wcześniej czy później dostalaby za swoje. Gdzie zresztą pójdzie z piątką dzieci; nie ma mieszkania, rodziny ani zawodu.

W wielodzietnych rodzinach dwoje pracujących rodziców to absolutna konieczność. Gdy pensje nie są wysokie trzeba być rzeczywiście gospodarnym, żeby nie popaść w dług i nędzę. Dzieci buntują się często przeciw swojej niezawinionej krzywdzie. Szczególnie, że na podwórku i w szkole widzą kochanych, wychowanych rówieśników.

„W naszej rodzinie jest pięć osób, ale tak naprawdę, to tylko trzy — ja i dwoje młodszych. Tatusi jest zawsze w więzieniu. Nie wiem czy kiedyś wróci do nas. Nie pamiętam jak wygląda, bo mamusia nie zaprowadziła nas do niego. Mama jest chora, a właściwie to ma chore nogi i nie może pracować, ale w do-

mu nie ma jej cały dzień. Mówi, że chodzi w koleżki, ale nie ma jej nawet wtedy, kiedy sklepy są zamknięte. Bułki i mleko kupuję ja. I inne rzeczy, jeżeli mama da pieniądze. Siostry Hanki też prawie nigdy nie ma w domu. Ona nawet na noc nie wraca, bo ma dobre koleżanki. Ale nas nigdy ze sobą nie zabiera, bo my nie jesteśmy dla niej towarzystwo. Tak mówi. Ona jest już duża, ma dwanaście lat. Powiedziała, że jak wyrosnę, to mnie z sobą też tam weźmie [...]”.



Najprawdopodobniej weźmie. Ta dwunastoletnia dziewczynka „przyjaźni” się z koleżankami dwudziestoletnimi. Kolegami również. Przyjaźni cementuje alkohol i seks. Matka nie może, albo nie chce pomóc córce; zaprzecza też kategorycznie, gdy ludzie zwracają jej uwagę, że córka weszła na złą drogę. Czy tylko ze wstydu?

#### Nie ma już nadziei

O sytuacji we własnej rodzinie mówią niechętnie. Tak dorosli jak i dzieci. Dążenie do zachowania tajemnicy jest wspólne, ale motywy chyba różne. Dzieci milczą przeważnie ze wstydu lub ze strachu. Czasem z miłości do rodziców; nawet jeśli tamci nie bardzo na to zasługują. Dzieci nie mają wielkiego wyboru i potrafią prawie wszystko wybaczyć za jedno ciepłe słowo, czuły gest.

Agata, choć ma dopiero czternaście lat, jest bardzo dojrzała, mądra i inteligentna. Nigdy nie była wesołą trzpiotką, bo zbyt wcześnie i mocno przeżyła śmierć matki. Młodszy brat nie bardzo to jeszcze rozumie, ale od pewnego czasu oboje są bardziej smutni niż zwykle. Powodów, na pierwszy rzut oka, nie ma. Dzieci uczą się dobrze, ojciec zarabia nieźle, do tego dochodzi renta po mamie. Sąsiedzi wiedzą jednak, że nie dzieje się w tym domu dobrze. Dzieci są często głodne, nie ma-

bita. Nie przyzna się, a tylko przynajmniej się dawałoby podstawę zabrania jej i jej braciszka do Domu Dziecka. Ojciec nie odda ich w browolnie, bo wie, że straciłby prawo do renty, którą dzieci otrzymują po matce.

#### Dziecko na łańcuchu

Żeby wypić, nie trzeba szczególnych powodów: imięniyny kolechandra, samotność, niestrainne niskie ciśnienie, wypłata. Kto wyje ten ryzykuje, że się upije, i polubi wypić. Najczęściej pije się w towarzystwie i dla towarzystwa. Najczęściej przestają wtedy działać jakiejkolwiek hamulce moralne.

Pan Józef C. jest domatorem. Żona, chociaż zawsze uwielbiała zabawy i towarzystwo, do pewnego czasu zajmowała się domem i dziećmi. Kiedy jednak znalazła pracę w pobliskim miasteczku (styka się tam prawie wyłącznie z mężczyznami) zaczęła wracać do domu coraz później, coraz rzadziej trzeźwa. Z czasem — w towarzystwie mężczyzny — Mąż najchętniej rozwiodłby się. Tyko że tak trudno o przysądzenie dzieci ojcu. A matce zostawić ich nie można. Kiedyś w zimie odbierała ją z przedszkola. Po pijanemu. Zapomniała go obuć, prowadziła ją po śniegu. Na szczęście znalazł jakiś mężczyzna, który wziął go w ręce, owinał w kożuch i doszedł do zataczającą się matką, aż trafiła do domu. Być może Sąd zechce to uznać za fakt, że to ona spowodowała kochanków?! Tylko, że pani C. ma wszędzie poparcie, potrafi zakreślić się wokół odpowiednich mężczyzn, którzy, gdy trzeba, załatwią każdą sprawę. Może sąd uwierzy w siadom i dzieciom? Dziesięcioletnia córeczka mówi: — Nie chcę mamę nie lubię jej, bo przychodzi do domu brudna, osikana. Czasem leży na podłodze, albo siedzi w fotelu i się lub wymiotuje. Kiedy przychodzi wesolutka, to rozbiera się do nagi i zaczyna tańczyć. Wtedy tatusi zabra nas do innego pokoju i tam wszyscy zamykamy i siedzimy. Może kiedyś mama pójdzie z jakimś panem i nie wróci?”

Wychodzić na dłużej lubiła również pani Czesława G. I jej dzieci nie nauczyły się mówić, nie mogły więc poskarżyć się na przywiązanie ich łańcuszkami do łóżka. Jej koleżanka, z którą chodziły na „podryw” i „bibki” praktykowała ten sam sposób chronienia dziecka od wszelkich możliwych nieszczęść. Panie te fakt przywiązania dzieci tłumaczyły koniecznością dbania o ich bezpieczeństwo.

W tym wypadku udało się coś zrobić dla dzieci — jedno umieszczono w żłobku, drugie w szpitalu, a trzecie w Domu Dziecka.

Kobiety samotne z reguły zazwyczaj szukają towarzystwa. Często nie starcza im już kontakt z dziećmi, sąsiedzkie herbatki, ploteczki przy telewizji. A więc — alkohol. Jedno z szaleństw popelnione w stanie nietrzeźwym pociąga następne. Coś się zamyka. Inaczej żyć już nie można. Kiedyś nazywano to alkoholizmem, dziś — chorobą alkoholową.

#### Paczka na zagrychę

Pomóc dzieciom, które żyją w takich rodzinach jest bardzo trudno. Każde ofiarowane pieniądze są przepijane, paczki żywnościowe służą na „zagrychę”. Towarzystwo Przyjaciół Dzieci stara się więc odchodzić od bezpośredniego dawania zapomóg pieniężnych. Opiekunki społeczne o sobiście uczestniczą w zakupach dokonywanych przez rodziców. Ale przecież nie sprawdzają tego, co dzieje się później z kupionym ubrankiem czy przyborami szkolnymi.

Władysław Pajęcki, kurator społeczny wie, że jeżeli coś ofiaruje się rodzinie W., na pewno się to nie zmarnuje: — W domu jest ośmioro dzieci, na utrzymanie zarabia tylko mąż. Pani W. dba o to, żeby nie zniszczyła się żadna kromka chleba, żadna szmatka. Jeden ciuch przeżywa tyle razy, że może służyć przez wiele lat kilku dzieciom. Natomiast zanieść coś Janine P. to to samo, co rzucić w błoto. Pani P. zmuszona jest pracować jako sprzątaczką, ponieważ mąż znajduje się na odwykowie w Choroszowie. Dzie-





ci, od dwóch do siedemnastu lat, ronną na chuliganów. Dwoje najstarszych ma już za sobą sprawy karne. Mimo niedorozwoju umysłowego są sprytnymi złodziejaskami. Matka nie potrafi o nic zadbać. Niedawno dostała piękną, nową odzież z paczek amerykańskich. Kiedy dzieciaki przybrudziły ją nieco, a zebrało się już wielkie pranie, wsadziła do pralki razem: białe, czarne i czerwone; bawełnę, jedwab i wełnę. Po wyjęciu wszystko było szare i nijakie, więc wszystko wyrzuciła na śmietnik.

Podobnego zdania jest pani Danuta Dragan z Towarzystwa Przyjaciół Dzieci:

— Większość tych ludzi nie docenia naszej pomocy. Oni wiedzą, że im się to należy. Wylczyłam niedawno, że pewna rodzina w ciągu jednego miesiąca otrzymała jedenaście zapomóg z różnych instytucji. Na ostatniej naradzie TPD-owskiej w Sandomierzu wystąpiliśmy z wnioskiem, żeby założyć książeczki, w które można byłoby wpisywać wszystkie zapomogi. Nie może bowiem być tak, że jedna, bardziej potrzebująca, ale mniej obrotna rodzina, nie otrzyma nic, natomiast inna wychodzi wszystkim i, bardzo często, wszystkie przeznacza na alkohol. Mam takie rodziny, którym trzeba wpychać zapomogi, bo chociaż ubogie są bardzo ambitne, dumne i wolą same pokonywać swoje trudności. Większość jednak przychodzi i żąda: — Mam kupę dzieci, niskie dochody (lub w ogóle bez pracy), musicie mi dać. Żadnej łaski mi nie robicie, bo to jest wasz obowiązek!

— W Polsce, niestety, praca jest przywilejem i prawem, a nie obowiązkiem. Jednocześnie, szeroko rozwijana pomoc społeczna, motywowana szlachetnymi pobudkami, jako skutek uboczny przynosi możliwość bezkarnego nierobstwa i pijaństwa na koszt społeczeństwa. Tymczasem nam nie jest tak łatwo zdobywać fundusze. W samej Łomży mamy naprawdę 52 koła TPD z 3 tysiącami członków, ale składki (24 złote), zapłaciło zaledwie dziesięć procent. Trzeba dzwonić, przypominać, błagać. Atmosfera nie jest ostatnio przychylna dla dzieci, a może tylko dla TPD! Nie tak dawno mieliśmy na to dowód. Bardzo potrzebowałam funduszy, więc zdecydowałam się zadziałać przez „Solidarność”. Ugodnił się z Wojciechem Kurelskim, że sprzedamy w „Bawelnie” trzy tysiące TPD-owskich nalepek po dziesięć złotych każda. Chociaż jest to duży zakład, wszystkie nalepki wróciły do nas. Dołączone było do nich pismo wyjaśniające, z którego dowiedzieliśmy się, że nie zamierzają wspierać TPD, i że nie mają do naszej działalności przekonania. Pertraktowaliśmy jeszcze z dyrektorem zakładu, ale również bez rezultatu. Do tej pory najczęściej ratuje nas z tarapatów finansowych koło TPD przy Komendzie Wojewódzkiej MO i Wydział Oświaty i Wychowania.

### Podjężane domy

— Mammy w Polsce wiele instytucji charytatywnych. Każda z nich działa właściwie na własną rękę. Wiele z tych działań jest nieskutecznych, powielających się. Dlatego też bardzo szybko powinno dojść do spotkania przedstawicieli Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, Ośrodka Opieki Społecznej, Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Kurii Biskupiej, PCK, Wydziału Oświaty i Wychowania. Trzeba byłoby na nim wreszcie jednoznacznie dokonać podziału kompetencji, ustalić wspólne kierunki i formy działania. Nie ruszymy też z miejsca, jeżeli nie uzyskamy możliwości działań doraźnych, choćby w postaci funduszy, którym można byłoby dysponować natychmiast, bez tych wszystkich formalności, papierków; drobiazgowych, wielokrotnych wywiadów. Zdarzają się bowiem sytuacje, że tylko natychmiastowa pomoc potrafi zapobiec niezczęściu.

Ale pomoc doraźna, chociaż tak cenna, nie poradzi wszystkim, jeżeli jednocześnie nie wypracuje się sposobów usuwania źródeł zła. Nie-

wątpliwie poważnym zagrożeniem są tu meliny, których egzystencja (jak do tej pory), jest wyjątkowo pewna i spokojna. Mimo rządowych hasel ostrej walki z alkoholizmem, prosperują nadal.

Wiadomo, że w Łomży funkcjonuje ich obecnie ponad trzydzieści. Wszystkie znane są społeczeństwu, jak i organom porządku publicznego. Zlikwidować ich jednak nie można, ponieważ najpierw trzeba byłoby nakryć kogoś na gorącym uczynku. Tymczasem przepisy nie określają ilości alkoholu, który można mieć w domu do bieżącej konsumpcji. Biesiadujący natomiast powiadają zawsze, że wódkę przynieśli ze sobą lub, że ktoś im ją postawił. W żadnym wypadku nie wspaniają gospodarza. Milicjant w cywilnym ubraniu kupujący alkohol nie może być świadkiem, gdyż próby takiego wejścia w środowisko kwalifikowane są jako prowokacja. Zresztą meliniarz i tak tłumaczy się później tym, że wiedział z kim miał do czynienia, więc sprzedał, żeby nie mieć nieprzyjemności. Wobec tak liberalnych przepisów milicja jest bezsilna.

Często jednak nie tylko nie może, ale i nie bardzo kwapi się do takich akcji. Panie z Ośrodka Opieki Społecznej czy TPD skarżą się niejednokrotnie, że na wywiady do podejranych domów chodzą muszą same, bo bardzo trudno jest „uchwyć” dzielnicowego. Mieszkańcy sąsiadujący z melinami zarzucają milicji nie tylko nieudolność i niemoc, ale wręcz wchodzenie w komitwę z meliniarzami i korzystanie z ich usług. Jeżeli nawet dochodzi do takich wypadków, z pewnością dotyczy to niewielkiej grupy funkcjonariuszy, dlatego sprawa pozostaje do ewentualnego wewnętrznego uregulowania. Prawdą bezsporną natomiast jest, że ostatnio nie zlikwidowano w Łomży żadnej meliny.

„Nakrycie” i tzw. „zdjęcie” tego typu lokalu polega jedynie na zabraniu butelek i wymierzeniu grzywny, co zresztą z reguły ma skutek odwrotny od zamierzonego, gdyż dopinguje meliniarza do wzmożonej pracy. Z drugiej strony nie jest to dla niego strata zbyt dotkliwa. Czymże bowiem są owe cztery tysiące złotych wobec dwudziestu do trzydziestu miesięcznego utargu?! Kary aresztu nie stosuje się prawie nigdy, bo meliniarzami są zazwyczaj ludzie starsi, a w stosunku do tych przewidziana jest taryfa ulgowa. Art. 222 k.k. mówi: „Kto nie mając uprawnień handlowych gromadzi w celu odsprzedaży z zyskiem towary w ilościach oczywiście niewspółmiernych do potrzeb własnych jako konsumenta, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Jeżeli więc 70-letnia babcia tłumaczy, że trzy skrzynki wódki są jej niezbędne do zaspokojenia własnych potrzeb konsumpcyjnych, to czy przy-



tak końskim zdrowiu nie mogłaby troszeczkę posiedzieć? A jeszcze wcześniej, czy nie można byłoby zapewnić jej takich warunków życia, żeby nie musiała dorabiać do kawałka chleba? Ale to już inna kwestia. Art. 224 dotyczy min. sytuacji wykupywania wódki w „Pewexach”. Grozi za to ograniczenie wolności do lat pięciu, a więc jest to już przestępstwo poważne. Jednak, prócz szarych obywateli, nikogo jakoś nie dziwi widok brudnej, obszarowanej starowinki kupującej za dolary skrzynki żytniej czy wyborowej.

### Kosztowna pobłażliwość

Meliny to nie tylko punkty nielegalnej sprzedaży alkoholu, ale i miejsca rozrywki erotycznych. Czasem są to usługi płatne, często służą „czyste” przyjemności. A trzeba przecież pamiętać, że lokale tego typu, to także domy rodzinne, w których z reguły aż roi się od dzieci.

Jedna z lepiej znanych wszystkim instytucjom pomocy społecznej to rodzina O. Brudne ściany i podłogi, fetor i wrażenie, że wszystko czego się dotknie przylepi się do rąk. Czarna kuchnia, zapleśniałe garnki. Po tej jednej izbie wałęsają się swobodnie króliki, koty i pies. Na barłogu leży ona — matka. Pijana, rozneglizowana; obok brudna, pokrwawiona koszula, której nie zauważa ani kobieta, ani siedzący obok niej gość.

— Jak to, dzieci nie są w szkole? Ja swoje dzieci bardzo kocham i dbam o nie — mówi. Domaga się współczucia dla siebie — biednej, schorowanej matki.

Niedawno wyszła ze szpitala. Nie chce jednak powiedzieć na co cierpi, nie pamięta nawet na jakim oddziale się leczyla. Nietrudno jednak domyśleć się, bo odkształcenia twarzy są typowe dla weneryków. „Zadbane” i „kochane” dzieci mają głowy ogolone „na zero” z powodu wszawicy, a twarze obsypane strupami wskutek silnej awitaminozy. Nie wyglądają na swoje dziewięć i jedenaste lat. Trudno podejrzewać te szkraby, że potrafią sprytnie wymanewrować z gęstej kolejki kilka portfeli. Do szkoły wpadają czasem, ale nie po wiedzę, lecz żeby obskubać kolegów. Kiedy są przy forsie, nie skąpią na „obiad” w barze. Za rok lub dwa polubią alkohol. Trzeba będzie więcej pieniędzy. Nie zarobią ich przecież uczciwie. A więc?

I tak zadegenerowani rodzice wychowują liczniejszą od nich generację młodych alkoholików i przestępców; „kształcą” dziewczęta, które już od jedenastego-dwunastego roku życia nabierają najpierw lubieżnych manier, a potem przyzwyczajają. Prestarzałe przepisy prawa nie są dostatecznie szczegółowe i skuteczne na potrzeby dnia dzisiejszego. A przecież dzieciom trzeba pomagać. I to właśnie wtedy, gdy nie zostały jeszcze młodocianymi przestępcami. Dlaczego obowiązek lożenia na utrzymanie dzieci egzekwowany jest wyłącznie od ojców żyjących w innym niż prawomocny związek; nie dotyczy natomiast rodziców, którzy żyją i płodzą dzieci w jednym stadzie, ale nie splamią się żadną, poza tą, pracą? „Niech pracują frajery. Ja mam prawo żyć, wolnym być. Są instytucje od tego, żeby nie umarł z głodu. A niech spróbują nie dać, to znajdziemy drogę do telewizji czy gazety. Jak ich porządnie opiszą, to nie będą się na przyszłość rzucać”. I tak się żyje. Bo zawsze ktoś pomoże, pożyczycy, coś gdzieś skapnie. Jak się nie ukradnie, to się „przyzarobi”.

Jak wykazały ostatnie wylczenia statystyczne, około sześciu milionów Polaków żyje w ubóstwie, a pewna część z nich — po prostu w nędzy. Wiele rodzin cierpi nie z własnej winy czy niedbalstwa. Niemalże jest ludzi kalekich, chorych, zniepełniających. Należy im się nasza pomoc. Nie tylko finansowa. Jeżeli stworzy się możliwości, mogą stać się równie pożyteczni jak wszyscy inni. Najgorsze, że bardzo często traktujemy ich na równi z całą tą bandą nicponi, chuliganów i pijaków, często zdrowych i silnych dopóki nie przeżre ich alkohol.

Przepisy traktują ich łagodnie i pobłażliwie, a my jesteśmy wobec nich wspaniałomyślni i szczodrzy. Wydają oni na świat ulomne i zdegenerowane, ale za to liczne potomstwo. Jeżeli akceptujemy hasło „Wszystkie dzieci są nasze”, to pamiętajmy, że są nimi także te wychowywane w melinach, więzieniach, na podwórkach i ulicach. Nawet jeśli trudno je pokochać, trzeba im pomóc. Może zaczynając od resocjalizacji rodziców?

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSKY  
Fot. GABOR LÖRINCZY

Sezon turystyczny w Ciechanowcu rozpoczął się fajerwerkami pomyśłów. Miejscowi animatorzy kultury długo głowili się nad tym, jak zapewnić tłoczającym się na ten turystyczny skrawek przybyśsom maksimum atrakcji. I wymyślili. Najlepszą jest odizolowanie zmęczonych codziennością umysłów od książek — jedyna biblioteka w tym starym i pięknym grodzie zamknęła swe podwoje na cały lipiec.

Po długich walkach i zachodach władz gmina Perlejewo doczekała się wreszcie własnej Spółdzielni Kółek Rolniczych. Sytuacja to wprowadzie nie poprawi, bo dwie gminy obsługiwać będzie nadal tyle samo sprzętu co przedtem, ale za to dwukrotnie więcej dyrektorów i księgowych, których liczba została dzięki „rozwodowi” zwiększona. Niezamierzony efekt reorganizacji dopatrujemy się w tym, że teraz część rolników zaoszczędzi ciut paliwa na dojazdy do nich. Dobrze i to.

Ostatnio przez Łomżę przejeżdża dość często nowe „Wuko”, które wypuszcza niezidentyfikowany bliżej czyszcioszek, by doprowadziło ulice do porządku. Pojazd można rozpoznać po tym, że czyści jezdnie na sucho, wnosząc tumany kurzu. Gdzie się on podziewa, mogą ujawnić ci, którzy przypadkiem znaleźli się w jego pobliżu — zajrząwszy uprzednio we własne płuca, albo przynajmniej na swoje okrycie.

Łomżyński urząd pocztowy nie doręczył emerytury adresatowi przekazu, każąc odebrać ją osobiście w okienku, bo wyniuchał... że emeryt chodzi. Owszem — chodzi, ale nie o to. Poczto! Zrealizuj ten pomysł, gdy Twój dyrektor sam będzie emerytem.

Oddział Wojewódzki, Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Łomży (5 tysięcy członków) — posiada najtrudniejsze warunki lokalowe w kraju: jeden obskuray pokoik na stromym piętrze. Nie ma gdzie prowadzić działalności organizatorskiej i programowej, kulturalnej — nie ma nawet mini-swiełtycy. Z przyczyn lokalowych nie może również usamodzielnić się Oddział Miejski PZERIL w Łomży (2700 osób). W tej sprawie interweniował sam Minister Administracji i Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska oraz Zarząd Główny Związku. Bez skutku. Co prawda decyzję na przydział lokalu dla łomżyńskich inwalidów wydano, ale po drodze przechwycili ją... myśliwi, zabierając lokal dla swych szefów — Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Związku Łowieckiego. Ten przykład podzielał. Kolejne wyścigi o skromne pomieszczenie wygrawali: a to wędkarze, a to sportowcy; organizatorzy turystyki. W Roku Inwalidów niepokoi jedno pytanie: czy aby rywal był odpowiedni?

Coraz częściej obrywa się pisma-kom i — jak pokazuje rzeczywistość — słusznie. Już wiosną np. odtrąbili w zgodzie z kanonem propagandy kłeski, totalny krach turystyki (kartki, puste spiżarnie stołówek, ocet i musztarda w sklepach), zapominając w czarnowidzkim zaślepieniu o złożoności tzw. dialektyki życia. A proszę — taki Nowogród, wykorzystując to właśnie, co turystykę rozłożył miado dokumentnie doczekał się turysty własnego chowu: jeden z tubylców licząc na znaną w narodzie przychylności dla waga-bundów przybiega rankiem w krótkich spodkach i dresie do miejscowego sklepu, aby nabyć takie męcyje, jak chleb i mleko, poza kolejnością. Pierwsze doświadczenie podzielało na niego zachęcająco do tego stopnia, iż podjął decyzję o rozpoczęciu nauki języków obcych. Liczy, że jako Francuz otrzyma deficytowy ocet.



Z czego żyją socjologowie? Z uprawiania socjologii — to oczywiste. Po co jednak komu socjologia; dlaczego społeczeństwo wydziela jakąś tam część dochodu narodowego, by ufundować za nie: sobie socjologię, a socjologom etaty?

Spółeczeństwo ufundowało sobie naukę zwaną astronomią, by wiedzieć coś o gwiazdach; biologię — o roślinach i zwierzętach... Ufundowało też socjologię — by zdobyć nieco wiedzy o samym sobie.

Wygląda to tak, iż Kowalski nie wie dlaczego pobudował willę lub wstąpił do „Solidarności” i chce się o tym dowiedzieć od socjologa. No, ale powiedzmy, iż Kowalski chce się dowiedzieć, ile jest takich jak on, co to pobudowali willę lub wstąpił do NSZZ, i dlaczego inni nie wstąpili i will nie pobudowali. Nauka w dzisiejszym społeczeństwie jest rodzajem religii, a powołanie naukowca — swego rodzaju kapłaństwem. Społeczeństwo potrzebuje nauki, bo każdy z Kowalskich chce mieć do czynienia z kosmosem jako tako uporządkowanym. Nauka, podobnie jak religia, wprowadza porządek w chaos stawiania się świata. W świecie uporządkowanym, w świecie, którego reguły i parametry są nam znane, czujemy się lepiej, pewniej, bo wiemy, na co możemy liczyć, czego się spodziewać, jak działać i odnosić zwycięstwo.

Dzięki postępowi biologii wiemy więc czym się różni kot od lwa i czego się spodziewać po jednym, a czego po drugim; ale także — jak odnosić zwycięstwo nad szarańczą i jak przekształcać geny pszenicy, by więcej było żaricia. Nauka porządkuje więc zewnętrzny wobec nas i obcy na początku świat, umożliwiając tym samym opanowanie go, a zatem — czyni ten świat bardziej ludzkim. Mowa tu jednak o zewnętrznym wobec nas świecie.

Co jednak z Kowalskim, a raczej Kowalskimi, którzy żądają socjologii? Czy Społeczeństwo, które pragną poznać, też traktują jako obce i wrogie; chcą odnieść nad nim zwycięstwo; uczyłowiec je? Powiedzmy, że chcą je zmienić, ulepszyć. Każdy z Kowalskich chce zatem zmienić innych Kowalskich. Ale czy chce to samo czynić także z samym sobą? Tylko to drugie ma jakiś sens. Jeśli bowiem każdy z Kowalskich chce zmienić innych Kowalskich pozostawiając siebie niezmiennym, to nie się przez to nie zmieni, co najwyżej nastąpi walka wszystkich Kowalskich przeciw wszystkim Kowalskim i koniec.

Socjologia, z praktycznego punktu widzenia, jest nauką o tym, jak zmienić innych pozostawiając siebie nietkniętym. Ze społecznego punktu widzenia jest więc dyscypli-

na absolutnie nieprzydatna, a w wielu wypadkach nawet szkodliwa. Bujny, wręcz gigantyczny rozwój socjologii w ostatnich dziesięcioleciach, a zwłaszcza — latach, był więc jak gdyby naroślą nowotworową na (zdrowym?) ciele społecznym. Wyrastając z jakichś tam autentycznych potrzeb społecznych socjologia stała się ich zaprzeczeniem. „Socjologiczny styl myślenia” stał się ideałem, miarą nowoczesności, dojrzałości. Ogólnie biorąc polega na traktowaniu faktów społecznych jako obiektywnych; niezależnych od jednostek społeczeństwo tworzących, jako faktów w stosunku do tych jednostek zewnętrznych, będących przedmiotem teoretycznego, naukowego oglądu i praktycznej manipulacji.

Myślenie takie może być niewątpliwie twórcze i pożyteczne, pod warunkiem wszakże, że nie będzie ono wyłączone, ani nawet dominującym sposobem ujmowania rzeczywistości społecznej; że przeciwnie — podporządkowane będzie podmiotowemu ujmowaniu tej rzeczywistości. Społeczeństwo bowiem dla samego siebie jest przede wszystkim podmiotem, a dopiero potem — przedmiotem oglądu.

Socjologia niejako zakłada istnienie idealnego teoretyka, „techniki społecznej”, czyli owego socjologa i idealnego praktyka korzystającego z obiektywnej teorii społecznej. Sami oni jednak do tego społeczeństwa, które chcą naprawić, nie należą, bo musieliby zacząć naprawianie od samych siebie. W myśleniu kategoriami socjotechniki jest istotny błąd teoretyczny. Każda bowiem mniej lub bardziej znacząca teoria socjologiczna zakłada podejście systemowe: wadliwa sytuacja jest wynikiem i rezultatem wadliwego funkcjonowania całego systemu, a więc również, a nawet przede wszystkim — wadliwego funkcjonowania działacza-praktyka, socjotechnika i naczelnego decydenta. Chcąc więc na lepsze zmienić społeczeństwo, ci co go zmieniają muszą zacząć najpierw od siebie. Ale taka perspektywa nie uśmiecha się ni działaczom, ni naczelnemu decydentowi, ni samemu socjologowi. Praktyka wskazuje, iż socjologowie zawsze byli powoływani przez decydentów po to, by zmieniając innych samym pozostać niczym niezmiennymi. By — jak ktoś powiedział — tak wszystko zmieniać, żeby nic się nie zmieniło.

Socjologia w takiej sytuacji może dokonywać jedynie odkryć teoretycznych błędnych, albo beznadziejnie banalnych. Wyszło to na jaw ze szczególną siłą w ostatnim roku w naszym kraju; w sytuacji, gdy wszelki decydent — zarówno ten centralny, jak i regionalny, zarówno posługujący się wiedzą nabytą od

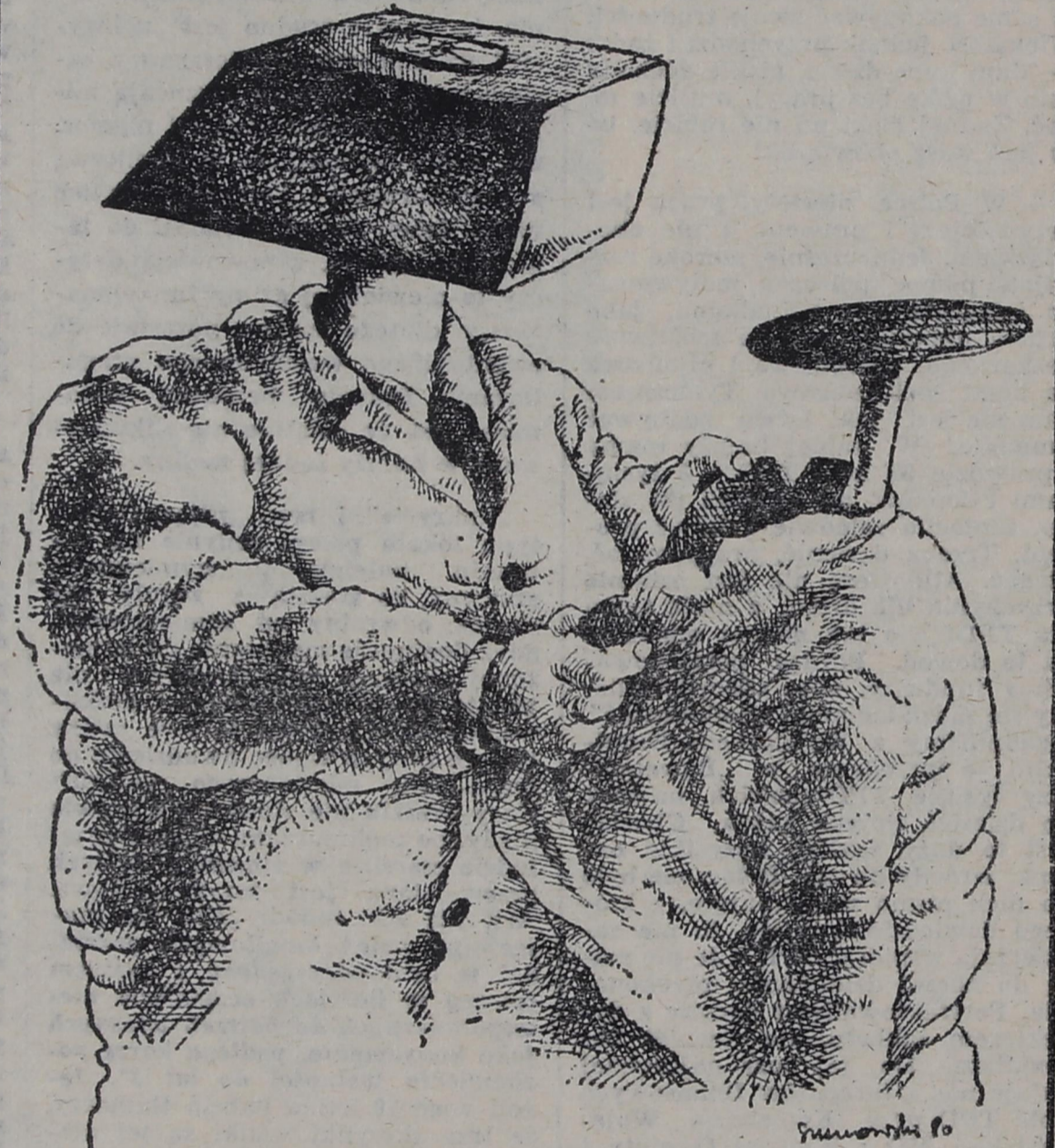
innych, wrodzoną intuicją, boskim natchnieniem; jak i ten, który miał w ręku aparaturę naukową nowoczesnej socjologii, tony raportów — mądrych, uczonych, z cyframi i tabelami licznymi na komputerach, ze współczynnikami ufnosci, dominantami i medianami — kiedy wszyscy oni przestali cokolwiek rozumieć i zatem — panować nad sytuacją. Zwyciężyli ci, którzy wiedzieli diabelnie mało, nie znali ni stanu badań empirycznych w przeddziedzinie zwanej socjologią klasy robotniczej, ni obfitych ustaleń teoretycznych, ani historii tej poddziedziny — nic. Za to mocno chcieli. Zwyciężyło więc społeczeństwo jako podmiot; a więc ci, którzy traktowali je jako przedmiot analiz i manipulacji.

Twierdzę z całą stanowczością, że w świetle danych, jakimi dysponowała socjologia i inne nauki społeczne w czerwcu 1980 roku, to co się wydarzyło w Polsce było absolutnie niemożliwe. Jestem w stanie udowodnić to szczegółowo, ale oczywiście — nie w tym miejscu. Wszelkie zatem ustalenia dotyczące socjologii klasy robotniczej i socjologii społeczeństwa socjalistycznego okazały swą absolutną nieprzydatność,

a sama dyscyplina powinna się okazać mocno podejrzana.

Nic takiego jednak się nie stało. Jak na ironię, zaraz po wydarzeniach sierpniowych zabrali głos socjologowie oświadczając, iż mają klucz do sprawy: wszystko dawno przewidywali, wszystko mogą niesocjologom objaśnić. Ostatnio, znany w kraju i na świecie, wybitny przecież socjolog Jerzy Wiatr pochwycił nas dużą dawką takich wyjaśnień publikując w „Kulturze” artykuł pt. „Lekeje polskich kryzysów”. Wiatr dochodzi do słusznego wniosku, iż przyczyną kryzysów w PRL było naruszenie leninowskich zasad socjalizmu, które się rozpoczęło w roku 1948 i że jedynie słuszną linią postępowania dziś jest linia kierownictwa partyjnego. Ja też tak myślę i byłoby mi z tego powodu bardzo miło, gdyby złośliwy chochlik nie podsuwał zwątpienia: profesor Jerzy Wiatr po każdym kolejnym kryzysie był zdania, iż linia aktualnego kierownictwa jest jedynie słuszną i — jak się dziś okazało — za każdym razem był w błędzie. Czy zatem dziś jest wyjątkowo nieomylny?

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK



Rysunek Grzegorza Szumowskiego

#### NA PIĘCIOLINII

Każdorazowy występ zdolnej aktorki i piosenkarki, która swój sukces zawdzięcza serialowi „Strachy” i piosence Romualda Liko, stanowi pewnego rodzaju wydarzenie. Oczywiście nie chodzi tu o wydarzenie muzyczne — bowiem pani Iza wcale nie jest ambitną wokalistką — ale raczej o obyczajowe, gdyż koncert staje się okazją do manifestowania przez młodocianych odbiorców miłości graniczącej z uwielbieniem. Piosenki śpiewane przez Trojanowską nie są również oryginalnym zjawiskiem; ot, zwyczajny rock sprawnie napisany i wykonany. Tymczasem w jednym z miast powstał fan-club aktorki, zrzeszający kilka tysięcy (!) członków, dysponujący legitymacjami i tonami materiałów reklamowych drukowanych m.in. przez firmę „Tonpress”. Widownia — co miało miejsce na tegorocznym festiwalu w Opolu — jest więc zalewana zdjęciami plakatami i barwnymi wizytówkami Trojanowskiej. Żeby było śmieszniej — o czym za chwilę — ów fan-club działa przy ZSMP, a roczna składka członkowska wynosi 100 zł, co przy kilku tysiącach uczestników tego szaleństwa daje rocznie dosyć konkretną sumę. Bo czym innym można wytłumaczyć spontaniczne działanie tego aparatu? Zresztą nie raz jeden już ujawniano, w jakim celu jedna osoba lub

## kontrewolucja w cymbałkach

grupa ludzi zakładała podobne kółko zainteresowań. Trojanowska jest bardzo ładna i zdolna, ale żeby aż... Dla oszałamiającej popularności piosenkarki widzę tylko jedno sensowne uzasadnienie, skoro jej twórczość estradowa nie stanowi jakiegoś wyraźnego ewenementu w naszym życiu rozrywkowym. Otóż dawno już u nas wyróżniono tzw. piosenkę aktorską, która związana była najczęściej z kabaretem, a — jak wiadomo — w minionej dekadzie niezbyt łatwo żyło się kabaretem. W telewizji i na estradzie obowiązywał typ ugryzionego, ulizanego szansonisty, który nie wykraczał poza normy ustalone przez dziennik telewizyjny. Muzyka Młodej Generacji — a więc pokolenia młodych grup rockowych — nie potrafiła wytworzyć typu scenicznego, oryginalnej postaci estradowej, nawet pozamuzycznego zjawiska zdolnego zainteresować również wzrok. Zespołem rockowym chodziło — i nadal chodzi — przede wszystkim o muzykę; chcą by ich traktowano jak jazzmanów, któ-

rych słucha się w skupieniu tak samo w sali koncertowej, jak i z płyty. Tymczasem Trojanowska (jak również Kora z grupy „Maanam”) potrafiła stworzyć na scenie postać. Gesty, stroje, rekwizyty, ruch — czyli te wszystkie elementy, które z piosenki tworzą trzyminutowy teatr; są w stanie ze sobą współgrać. Po prostu coś się dzieje. I nie przypadkiem ten typ estradowy zachwyca przede wszystkim młodych. Nie są jeszcze osłuchani, zorientowani, nie znają się na gatunkach muzyki rockowej czy jazzowej, rzecz całą odbierają spontanicznie, bardziej wszystkim; naraz zmysłami niż samym tylko słuchem. — Iza, Iza, Iza — to skandowanie jest ich autorstwa, a rozlega się na każdym niemalże występie Trojanowskiej. Bezkrzytycyzm w podejściu do materiału muzycznego dał się zauważyć również teraz, w Opolu, kiedy to Trojanowska po raz pierwszy wystąpiła z nową, bardzo słabą grupą „Stalowy Bagaż”, prezentując piosenki jednego z muzyków tego zespołu. Jakże różniły

się one od tych, które pisał niegdyś dla niej Lipko i dzięki którym dorobiła się płyty długogrającej. Aplauz był ten sam, chociaż już odrobina słuchu i smaku pozwala wykryć różnicę.

A propos ZSMP. Jak mogli to usłyszeć widzowie, Trojanowska śpiewała w Opolu „Pieśń o cegle”, wysmiewającą lata pięćdziesiąte i ZMP, nawołującą do ostrego współzawodnictwa w pracy. Konsekwencją epoki socrealizmu i dekad następnych jest — tak wynikało z tekstu — obecna kondycja gospodarcza Polski. Trojanowska śpiewała tę piosenkę mając na szyi czerwoniasty krawat. I oto Zarząd Krakowski ZSMP w imieniu swoich członków wystosował do organizatorów festiwalu teleks następującej treści: „Prezydium ZK ZSMP żąda wyjaśnienia jakim prawem występująca na festiwalu piosenki w Opolu Iza-bela Trojanowska używała w swoim ubiorze jednego z elementów stroju organizacyjnego, czerwonego krawata profanując jego symboliczny charakter dla ZSMP”.

To prawda, że bzdura pociąga za sobą jeszcze większą bzdurę.

JAN JANUSZEK

„Kontakty” zamieściły ostatnio szereg publikacji dotyczących nowo wybudowanego zakładu mleczarskiego w Grajewie i ochrony wód Biebrzy: „Oczyszczalni sumień” D. i A. Wroniszewskich, cykl reportaży radiowych pt. „Alarm dla Biebrzy” T. Piotrowskiego oraz, w numerze z 14 czerwca br., „Alarm dla władz” L. Gizelbacha. Ponieważ redaktor L. Gizelbach w ostry sposób „piętnuje” władze wojewódzkie za brak z ich strony stosunku do sprawy, zmuszony jestem prosić Redakcję o udostępnienie mi lamów tygodnika dla udzielenia niezbędnych wyjaśnień.

Przed wszystkim chciałbym przypomnieć, że oficjalne stanowisko w omawianym zespole problemów zająłem w piśmie z 26 lutego br., adresowanym do TKZ NSZZ „Solidarność” Oddział w Łomży i przekazanym do wiadomości Redakcji „Kontaktów”. Nie uległo ono dotychczas zasadniczym zmianom, stąd też nie uznawałem za konieczne składania dodatkowej o tym informacji, zwłaszcza że D. i A. Wroniszewscy („Kontakty” z dnia 15.III. br.) w sposób bardzo wszechstronny i — generalnie biorąc — obiektywny przedstawili złożoność problemu oczyszczania ścieków dla znajdującego się w końcowym etapie budowy Zakładu Mleczarskiego. Z drugiej zaś strony wskutek szczególnego zainteresowania problemem ochrony rzeki Biebrzy ze strony Rady Narodowej Miasta i Gminy w Grajewie, RKK NSZZ „Solidarność” w Grajewie, prasy, radia i telewizji oraz prowadzonych szeroko działań wyjaśniających, decyzja o wstrzymaniu bądź uruchomieniu Zakładu nie była łatwa do podjęcia. To jednak, że decyzja taka dotychczas nie zapadła, nie oznacza, iż w tak ważnej sprawie panuje bezczynność i milczenie — jak to sugeruje Czytelnikom autor „Alarmu dla władz”.

Wprawdzie opinię publiczną z pewnością mniej interesuje kiedy, z kim lub u kogo podejmowane są interwencje, lecz efekt końcowy tych działań, tj. termin, w jakim można będzie absolutnie bez szkody dla środowiska naturalnego człowieka uruchomić Zakład Mleczarski w Grajewie, to — okazuje się — i te działania należy prezentować. Inaczej, jakże łatwo narazić się na stwierdzenia, jakich hojnie pod adresem tych władz używa (moim zdaniem nadużywa) redaktor L. Gizelbach. Dla przypomnienia cytuję niektóre: „zadanych decyzji poza forsowaniem podłączenia do oczyszczalni miejskiej nie było”; „sytuacja wymaga nadzwyczajnych środków a władza zachowuje się nadal zwyczajnie”; „zdumiewa upór władz pragnących za wszelką cenę uruchomienia zakładu bez oczyszczalni”; „władze łatwo dały się przekonać nierzetelnym i... często przypadkowym wynikom badań”.

W związku z tym pozwalam sobie na szersze omówienie stanowiska i podjętych przez władze wojewódzkie działań w ostatnim okresie bez wnikania w to, czy należy je traktować jako zwyczajne, czy też nadzwyczajne. Nie przytaczając całej historii sprawy, dość wiernie opisaną w reportażach, sytuacja na dzień 10 lutego br. (kiedy to Rada Narodowa Miasta i Gminy w Grajewie z inspiracji RKK NSZZ „Solidarność” w Grajewie podjęła uchwałę o negatywnym stosunku do uruchomienia zakładu mleczarskiego z wykorzystaniem oczyszczalni ścieków komunalnych) była następująca: Biuro Studiów, Projektów i Realizacji Inwestycji Przemysłu Mleczarskiego Oddział w Białymstoku najpierw zaproponowało ograniczenie ilości i asortymentu produkcji w zakładzie tak, aby osiągnąć zmniejszenie ilości i ładunku zanieczyszczeń ścieków do wielkości dopuszczalnych do przyjęcia na oczyszczalnię miejską, a następnie uzyskało decyzję Naczelnika Miasta i Gminy w Grajewie z dnia 22 lutego 1980 r. (była ona konsultowana z Wydziałem Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, Urzędu Wojewódzkiego) ze-

zwalającą na odprowadzenie ścieków mleczarskich do kanalizacji miejskiej; wprowadzając równocześnie odpowiednie obwarowania na wypadek, gdyby zakład przekroczył ustalone parametry ścieków albo gdyby okazało się, że — mimo ograniczeń wprowadzonych decyzją — ścieki zagrażają czystości rzeki Elk i Biebrzy.

Trzeba przy tym wiedzieć, że mleko z rejonu Grajewa jest przetwarzane w zakładach mleczarskich: w

kluczyl możliwości przyjęcia ograniczonych w ładunku i ilości (do czasu podłączenia kanału A do oczyszczalni, który wymaga jednak przebudowy) ścieków z zakładu mleczarskiego, wskazując jednocześnie na możliwość i potrzebę przyspieszenia budowy odrębnej oczyszczalni ścieków dla zakładu mleczarskiego w Grajewie.

Po otrzymaniu tej opinii wystąpiłem na sesji Rady Narodowej Miasta i Gminy w Grajewie (28

# odzew na



# alarmy

Dolistowie, odprowadzającym do wód rzeki Biebrzy ścieki surowe, zupełnie nie oczyszczone; w Prostkach, odprowadzającym do rzeki Elk (powyżej Grajewa) ścieki nie oczyszczone z powodu dwukrotnego przeciążenia oczyszczalni.

Zakładano więc też, że przejęcie tego mleka do nowego zakładu w Grajewie powinno poprawić w odczuwalnym stopniu czystość wód rzek Elk i Biebrza. Za uruchomieniem tego zakładu przy zachowaniu rygorów, o których mowa w cytowanych ekspertyzach, przemawiały więc nie tylko względy społeczne i gospodarcze, ale i dobrej pojęty interes ochrony środowiska.

Na przełomie miesiąca lutego i marca br. sprawa nabrała rozgłosu. Wojewoda Łomżyński biorąc pod uwagę zgłaszane w różnych formach przez działaczy NSZZ „Solidarność”, dziennikarzy i radnych Rady Narodowej Miasta i Gminy w Grajewie zastrzeżenia do opracowanych opinii i ekspertyz dotyczących możliwości przyjęcia i oczyszczenia ścieków mleczarskich w okresie przejściowym przez oczyszczalnię miejską, a także w celu pogłębienia własnego rozpoznania sprawy wystąpił 2 marca 1981 r. do Głównego Inspektora Ochrony Środowiska, Wiceministra Administracji Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, Ludwika Ochockiego o poddanie całości sprawy ponownej, szczegółowej analizie przez zespół resortowych rzeczoznawców z zakresu oczyszczania ścieków i ochrony środowiska. W odpowiedzi minister L. Ochocki w piśmie z 16 kwietnia br. nie wy-

kwestionował możliwości przyjęcia ograniczonych w ładunku i ilości (do czasu podłączenia kanału A do oczyszczalni, który wymaga jednak przebudowy) ścieków z zakładu mleczarskiego, wskazując jednocześnie na możliwość i potrzebę przyspieszenia budowy odrębnej oczyszczalni ścieków dla zakładu mleczarskiego w Grajewie.

kwietnia 1981 r.) z informacją o niej i prośbą o reasumpeję podjętej w dniu 10 lutego 1981 r. uchwały. Propozycja nie spotkała się z aprobatą radnych, gdyż obecni na sesji przedstawiciele RKK NSZZ „Solidarność” zażądali specjalnego spotkania na ten temat, z możliwością udziału specjalistów jednej i drugiej strony. Na propozycję tę przystałem (n.b., gdy wcześniej, na sesji Rady Narodowej Miasta i Gminy w Grajewie, 10 marca 1981 r. proponowałem takie specjalistyczne spotkanie w ciągu jednego miesiąca; orzeczono, że „niech się tym problemem martwi Wojewoda”). Z dwu proponowanych terminów takiego spotkania 15 lub 19 maja 1981 r. — RKK „Solidarność” w Grajewie wybrała termin późniejszy.

W wyniku ponad 16-godzinnej, moim zdaniem bardzo rzeczowej dyskusji — wymiany opinii, zdań i argumentacji — prowadzonej przy przeważającym udziale szerokiego grona aktywistów z Grajewskiej „Solidarności” i spoza Grajewa, przedstawiciele ośrodków naukowych oraz reporterów lokalnych, regionalnych i krajowych środków masowego przekazu doprowadzono do podpisania porozumienia. Realizując je zlecono jeszcze jedną opinię jednostce wskazanej przez RKK „Solidarność” w Grajewie — Zakładowi Podstaw Ochrony Środowiska Politechniki Białostockiej z zadaniem określenia stanowiska na temat możliwości przyjęcia ścieków mleczarskich do istniejącej miejskiej oczyszczalni ścieków na okres

przejściowy, tj. do uruchomienia własnej oczyszczalni ścieków. W zleceniu z 25 maja 1981 postawiliśmy jednoznaczne pytania: Jak wielki ładunek ścieków mleczarskich można odprowadzić w tym okresie przejściowym do oczyszczalni miejskiej, a zatem — do jakiego stopnia należy ograniczyć produkcję w zakładzie (np. czy możliwa jest sama produkcja proszku, przy której uzyskuje się znikomą ilość ścieków), aby nie zaszkodzić zarówno oczyszczalni komunalnej, jak i wodom rzeki Elk i Biebrza. Opinii tej dotychczas nie znamy i wobec tego nie można zająć ostatecznego stanowiska w sprawach, które w porozumieniu uzależniono od tej właśnie opinii. Dodatkową opinię w tej sprawie opracowuje też, na zlecenie Ministra Administracji Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska — Instytut Kształtowania Środowiska we Wrocławiu. Spodziewamy się uzyskać ją w najbliższym czasie.

Jeśliby wyciągać wnioski z przeprowadzonych dotychczas dyskusji, to należy się spodziewać, że opinie te będą zmierzać w kierunku „nierzykowania” włączeniem ścieków mleczarskich do oczyszczalni komunalnej z uwagi na brak gwarancji co do tego, że Zakład Mleczarski w całości i bezwzględnie dostosuje się do reżimów, jakie w takim wypadku były dlań określone.

Spółdzielczość mleczarska wydaje się również przygotowywać do takiej alternatywy, szukając możliwości zagospodarowania surowca w innych zakładach, najwyżej do miesiąca marca roku przyszłego. Tak więc niezależnie od opinii dotyczących rozwiązań okresu przejściowego, najważniejszą sprawą jest przyspieszenie budowy docelowej, odrębnej oczyszczalni ścieków dla zakładu mleczarskiego.

Po spotkaniu 19 maja 1981 r. i podpisaniu porozumienia w Grajewie, wspólnie z Prezesem Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskich odbyliśmy rozmowę z Pierwszym Zastępcą Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych i Dyrektorem Departamentu Budownictwa Przemysłowego, który uczestnicząc następnie w naradzie na budowie w Grajewie 1 czerwca 1981 r. zapewnił priorytet w zaopatrzeniu materiałowym na potrzeby tej budowy. W trybie awaryjnym, dosłownie w ciągu kilku dni, projektanci opracowali koncepcję etapowania robót na budowie oczyszczalni. Zapewniono wykonawcy pomoc w zwiększeniu zatrudnienia, zakwaterowano pracowników zamiejscowych i zapewniono zaopatrzenie w artykuły żywnościowe. Wojewoda J. Zientara przeprowadził osobistą rozmowę z Ministrem B.IPMB J. Brzostkiem w tej sprawie.

W potoku interwencji i narad nadchodzi również ta najważniejsza informacja, przekazana przez Ministra, że na budowie oczyszczalni obserwuje się większy ruch, że budowa nabiera rozmachu. Myślę, że dla wszystkich — i profesjonalnie i społecznie zainteresowanych sprawą — jest to dobry symptom. Twórzmy więc wspólnie wokół tej sprawy atmosferę zachęty, mobilizacji i serdeczności, odkładając nawet na razie na drugi plan analizę przyczyn, które spowodowały „zachwianie” w kompleksowym rozwiązaniu produkcji mleczarskiej i ochrony środowiska przy budowie Zakładu Mleczarskiego w Grajewie; choć przyznaję, że nie są one bez znaczenia.

PS. Ponieważ upłynął już rok funkcjonowania pisma pragnę z tej okazji złożyć Redakcji najlepsze życzenia, dobrej służby sprawom i ludziom.

STANISŁAW CIUPA  
Wicewojewoda Łomżyński

Łomża, 14.06.1981 r.



# za łapówki

## -nie wstyd

MAREK

RYMUSZKO

O ósmej trzydziestej strażnik rutynowym ruchem odsuwa barierę i tłum czekający w holu rozlewa się po gmachu. Pelźnie korytarzami, wypatruje numerów sal, wczytuje się w wiszące na drzwiach wokandy, usiłując znaleźć na nich znajome nazwiska. W szatni, obok kiosku z gazetami zapóźnień adwokacji pobierają pospiesznie togi, a na wewnętrzny dziedziniec wjeżdżają z loskotem więzienne karetki. I kiedy po kilkunastu minutach zacznie się wywoływanie pierwszych spraw, gmach warszawskich sądów na Lesznie będzie już huczał niczym gigantyczny, pracowity ul.

Moje zapamiętanie korytarza sądowego jest opcją człowieka, który w labiryncie gmachu przy al. Świerczewskiego w Warszawie wydeptał dziesiątki kilometrów, spędził na rozprawach setki godzin. Dzięki temu wiem, że w falującym na korytarzu tłumie, w rozkołysanej atmosferze rozmów i pogwarek można często dojrzeć i usłyszeć więcej niż za drzwiami sali, gdzie dialogi toczą się na ubitej ziemi, pod czujnym okiem — tylko na pozór ślepej — Temidy.

Siedząc w ławie prasowej staję się zalegalizowanym uczestnikiem procesowych wydarzeń, pod adresem którego niekiedy kierowana była nawet pewna gra: prowadzona przez oskarżonego i pokrzywdzonych, strony i ich pełnomocników, prokuratora i sędziego. Przemieszany z sądowną klientelą — jestem przybyszem znikąd; szarym, anonimowym człowiekiem, mogącym niepostrzeżenie włączyć się w szeroki nurt opowieści i emocji tworzących nieodmiennie konterfekt wymiaru sprawiedliwości.

Oto widzę, jak pospiesznym krokiem pokonuje schody prokurator K.; cecha charakterystyczna: największa ilość uniewinnień wśród oskarżonych, co nie przeszkadza mu w znakomitym samopoczuciu.

Oto pojawia się pani sędzia J., która — tak twierdzi korytarz — bardzo niechętnie udziela rozwodów. Po prostu uważa, że życie rodzinne trzeba cementować choćby i na sali sądowej. Mecenas B., po przeczytaniu wokandy, przeciera — zmartwiony — okulary. Wzdycha, że będzie ciężko. Już parę razy wypadło mu ubiegać się o korzystne rozstrzygnięcie przed obliczem pani sędzi i zawsze, niestety, ze złym skutkiem.

Kobiety — wyklada swój pogląd — nie powinny rozpoznawać spraw rozwodowych, a w każdym razie tylko wyjątkowo. Po czym zastrzega się natychmiast: — Tu nawet nie chodzi o jakąś, z góry założoną stronniczość czy brak obiektywizmu, ale określone cechy psychofizyczne, ergo, naturalna skłonność do ulegania emocjom. A sąd, proszę pana, to nie jest właściwe miejsce do ujawniania emocji.

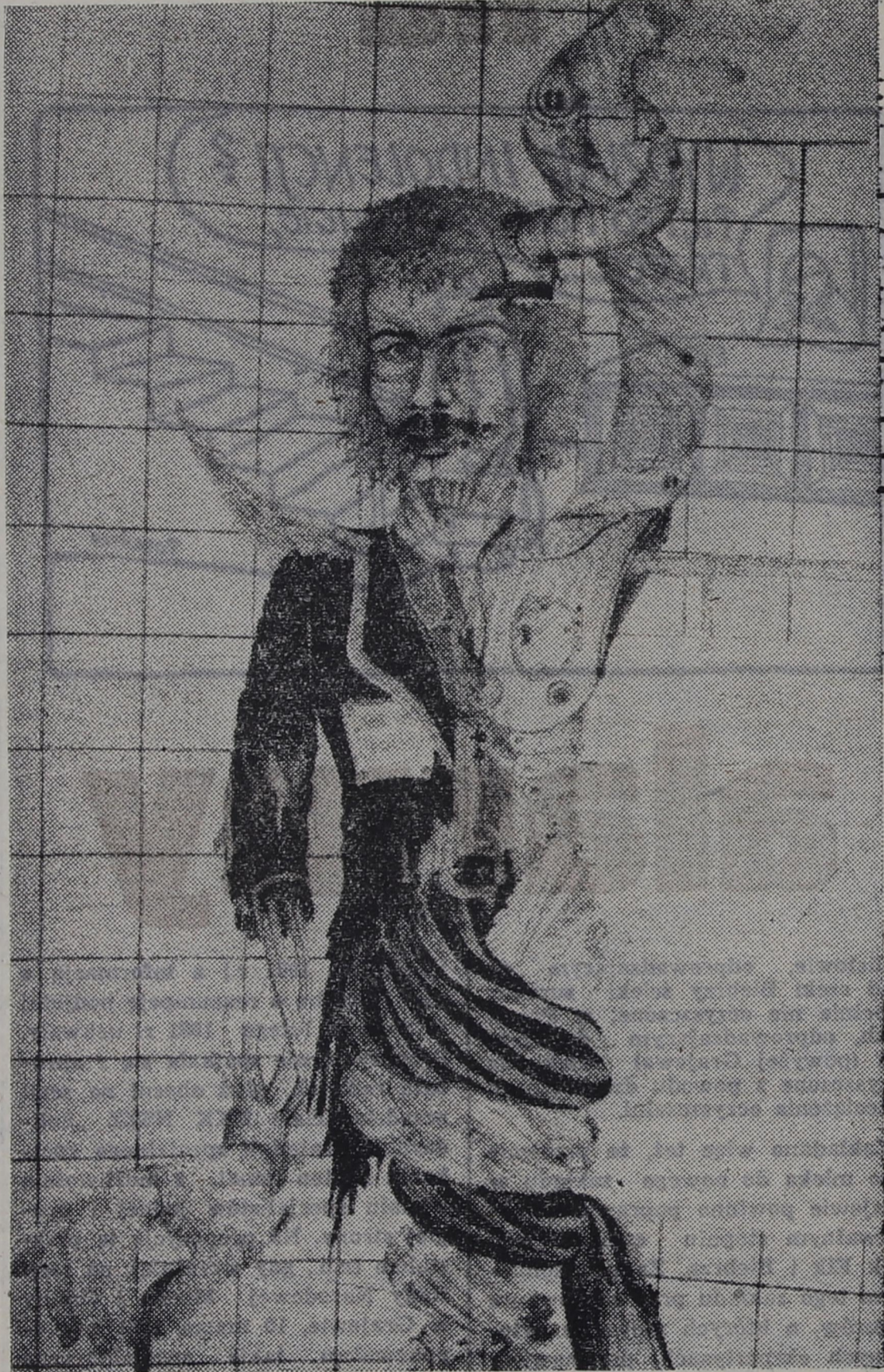
Mecenas B. chciał zapewne powiedzieć „sala sądowa”. Powiedział: „sąd” i w tym sensie nie miał racji, gdyż korytarz sądowy stanowi właśnie swoisty skansen emocji, niekiedy rozpalonych do białości. Tu właśnie następuje kumulacja zdarzeń i incydentów, których znaczenia nie sposób odczytać bez wglębnienia się w tło sprawy, eksplodującej nagle na oczach tłumy dramatycznym spieciem. Jak ta, kiedy do mężczyzny skutego kajdankami i prowadzonego przez dwóch rosłych milicjantów podbiega nagle kobieta i woła z rozpaczą: — Powiedz, dlaczego chciałeś mnie zabić, dlaczego?

Przez chwilę trwa zamieszanie, które jednak szybko zostaje opanowane. Ludzie odciągają kobietę na bok, jak spod ziemi wyrasta straż porządkowa, która zabiera ją, zapewne w celu spisania personaliów. Milicjanci pośpiesznie oddalają się z oskarżonym i wkrótce znikną za rogiem kolejnego korytarza. Pozostanie osad sensacji i niedopowie-

dzeń, a tłum długo będzie jeszcze bużował wzburzony, podniecony, podenerwowany zajściem, którego zagadkowego sensu nie zdążył rozwikłać.

Można czasami usłyszeć, że sąd ma swoją, wypróbowaną publiczność, tak jak ma ją teatr, kino czy wystawa abstrakcyjnego malarstwa. Jest

Ba! Kiedy to również wydaje się już reliktem przeszłości. Bo emerytów i rencistów życie zagnało do kolejek, gdzie stoją godzinami po schab, wędlinę, masło, cukier, gazety i łakocie. Często zresztą nie dla siebie, lecz bliskich, znajomych, tych, którym nie starcza cierpliwości na załatwianie elementarnych



to jedna z tych wielkich legend, które, nawet jeśli kiedyś były prawdą, dziś coraz bardziej upodabniają się do — starannie pielęgnowanego — mitu. Bo publiczność jako niezbywalny rekwizyt sądowej codzienności przestała już istnieć dawno, przynajmniej w swym anegdotycznym wymiarze. Kibicowanie wydarzeniom na sądowych wokandach ongiś wyróżniało się dwoma, jednocześnie występującymi cechami: stałością i bezinteresownym trwaniem. Dziś brakuje jednego i drugiego. Owszem, podczas wielkich procesów publiczność zapełnia salę, ale jest to już tylko widownia okazjonalna, zwabiona niezwykłym charakterem sprawy lub nadanym jej przedwcześnie rozgłosem. We wszystkich innych przypadkach statystyczny tłum okazuje się tłumem bezpośrednio zainteresowanym przebiegiem rozprawy i wyrokiem, jaki w niej zapadnie. Świadkowie mieszają się ze stronami, rodziny oskarżonych z bliskimi pokrzywdzonych, biegli z dziennikarzami. Wszyscy ci ludzie nie mają nic wspólnego z bezinteresownym przesiadywaniem w sądzie byłowca-hobysty.

— Kto dziś — zastanawia się mecenas Tadeusz Krzemieński — może sobie pozwolić na to, żeby tracił czas w sądzie, jeśli nie musi tego robić? Chyba tylko emeryci i renciści,

spraw dnia codziennego. Tak oto odchodzi do sklepowych ogonków cała epoka, której nie są w stanie wrzucić nawet — dawniej przyciągający bez pudła publiczność — fantazyjni oszuści, zboczeni piromani czy wyrafinowani mordercy.

Prawda, że zdarzają się i dziś wielkie procesy, która wabią magią nazwisk lub fabułą — Bielań, Kasia Orzechowska — czasem wybuchnie wielka afery gospodarcza ze znaczącą obsadą w rolach głównych. Ale wielkie afery nużą, gdyż ciągną się miesiącami, toną w powodzi cyfr i żmudnych wylizowań. Przywalone nie kończącymi się polemikami rewidentów i księgowych, liczących straty, nieuchronnie tracą na atrakcyjności. Te sprawy — monstra, dające zatrudnienie dziesiątkom świadków i biegłych, nie potrafią najczęściej zdobyć widowni nawet wówczas, gdy ława oskarżonych nie jest w stanie pomieścić wszystkich, którym wypadło na niej zasiąść, i sąd musi przyznać na ten cel również pierwsze rzędy sądowego amfiteatru (niekiedy zaś jest i tak, że miejsce na ławie by się znalazło, a mimo to pozostaje puste).

Trzeba dopiero powiewu wielkiego świata lub niepowzvednich sensacji, by okazjonalnie zapełnili salę i korytarz, przekazując sobie z ust do ust najświeższe wiadomości. Tak

wiasnie dzieje się na procesie Kazimierza Tyrańskiego, gdzie dzień w dzień zbiera się tłumek gapiów. Ciagle jeszcze liczą na coś nieoczekiwanego i kalkulują, że może jednak opłaci im się posiedzieć kilka dni dłużej, by stać się naczyniami świadkami wielkiego zwrotu w sprawie. Oskarżony zapowiedział, że złoży oświadczenie; ta wieść, która lotem błyskawicy obiega korytarz, elektryzuje gawieź, panie z sekretariatu i pracowników mających akurat okienka w rozkładzie zajęć. Pod drzwiami sali momentalnie robi się ścisisk. Niestety, dostępu do środka broni woźny, który surowo upomina, by nie zakłócać porządku.

— Nic nie powiedział — oznajmia z pełną wyższością miną aplikant, który opuszcza salę jako pierwszy. Na korytarzu jęk zawodu. Znow parę godzin poszło na marne.

Pojawia się mecenas Pocię, jeden z najlepszych w Polsce obrońców. Kroczy pograżony w rozmowie z reporterem Edmundem Żurkiem. Żurek po serii znakomitych reportaży opublikowanych w „Argumentach” jest jedynym dziennikarzem, któremu Tyrański się kłania. Podejrzewam zresztą, że obok głównego bohatera wydarzeń i mecenasa Pocię, Żurek dysponuje najpełniejszą wiedzą o tej nietuzinkowej sprawie. Ale wielki dzień reportera jeszcze nie nadszedł, gdyż proces ciągle toczy się w ramach narzuconych mu przez uwarunkowania daleko wykraczające poza mury sądowego gmachu. Póki co, tłum żąda głów, a przynajmniej głośniejszych nazwisk, i każde, choćby dalekie ich echo, kwituje głuchym, pełnym zadowolenia pomrukiem.

Równoległe w innej sali spowiadają się przed sądem komornicy. Starzy wyjadacze, a wpadli wyjątkowo głupio. Tu również, na ławie prasowej, skrzypią znane pióra, choć przecież ta sprawa nie jest obstawiona tak skrupulatnie, jak — mająca już swoją historię prasową — afera „Hortexu”. Samo ogłaszanie w w niej wyroków trwa ponad trzy godziny. Sędzia Zygmunt Miłko, który przewodniczył kompletowi orzekającemu, pod koniec chrypi ze zmęczenia. Na dwunastu oskarżonych pięciu zostaje uniewinnionych, a w jednym przypadku sąd umarza postępowanie z powodu znikomej szkodliwości społecznej czynu. W sali poruszenie. Rodziny — i tych skazanych, i tych, z których zdjęto brzemie winy oraz kary — oddają się solidarnemu pochlipywaniu. Upada całkowicie, wałkowany miesiącami, zarzut zagarnięcia mienia. Zdaniem prokuratury miało do niego dojść drogą przestępczych machinacji, polegających na sprzedawaniu „Hortexowi” przez PHZ „Agros” pełnowartościowych owoców po znacznie niższych cenach. Sąd zdecydowanie obala tę tezę. Na korytarzu ludzie pokazują sobie palcami księgowego Rubacha. Ten człowiek, jako biegły sądowy, ma za sobą gigantyczną pracę. Dzięki jego benedyktyńskiej cierpliwości i precyzji udało się dotrzeć do dokumentów, których prokuratura nie usiłowała lub nie zdołała odszukać. Sprawily one zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Biegły Rubach stał się niekwestionowanym bohaterem tego niezwykłego, taslemcowego procesu, którego finał jest równie niezwykłym. Z aktu oskarżenia zostały przed wszystkim łapówki przekazywane przez agentów kociąg-barów kierownictwu kombinatu w Górze Kalwarii. Ale i tutaj kary pozbawienia wolności wymierzone przez sąd w większości przypadków pokrywają się z okresem przebywania oskarżonych w areszcie. Do celi wróci jedynie były dyrektor naczelny „Hortexu”, Marian Lis. Oprócz sześciolatniej odsiadki będzie musiał zapłacić blisko półmilionową grzywnę, a jego samochód i książeczka PKO z osiemdziesiątym czterem wkładem, na mocy orzeczenia sądowego, zostaną skonfiskowane.

Prokurator z pochmurną twarzą opuszcza salę. Przed chwilą zapowiedział złożenie rewizji. W kuluarach atmosfera podniecenia i wymiana uscisisków z bliskimi. Sporo również bezinteresownego współczucia dla tych, którzy „siedzieli za niewinność”. Jeśli chodzi o łapówki, publika wykazuje budującą jednorodność; uważa, że to żaden zarzut. — Za łapówki nie wstyd kiblować — oświadcza mały, zasuszony człowieczek, krewny jednego z oskarżonych, a korytarz sądowy kwituje tę sentencję pełnym aprobaty milczeniem.

(c.d.n.)  
Fot. CAF



WARUNKI PRENUMERATY: Prenumerata przyjmuje Oddział RSW „Prasa-Kultura-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, 1 kwartał, i półrocze roku następnego i do 31 grudnia na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalna 104 zł, półroczna 208 zł, roczna 312 zł. Jednostki godziwego i uszczelnionego, nieopieczętowanego, w miejscowych oddziałach RSW „Prasa-Kultura-Ruch” za w miejscowych oddziałach RSW „Prasa-Kultura-Ruch” w Warszawie, ul. Towarowa 28, 00-020 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 112-2104-132-11; prenumerata ta jest darmowa od prenumeraty krajowej o 50% dla abonentów indywidualnych i o 100% dla placówek instytucji i zakładów pracy.

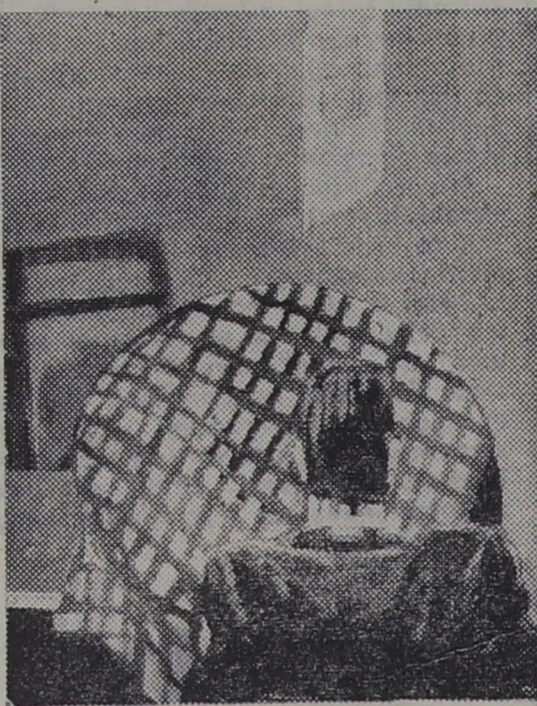
## osmętnica pędzlem przywołana

Czy czasy po temu, czy współobecność wielu obrazów; dość, że z najnowszej wystawy w łomżyńskiej galerii BWA wychodziłem w minorowym nastroju.

Ekspozycja, będąca przeglądem prac łomżyńskiego środowiska plastycznego, została urządzona zastępczo, co zdarza się w tymże BWA i czemu dziwić się nie można. Uznani artyści, jeśli godzą się na przedstawienie ich dorobku w łomżyńskiej placówce traktują to „relaksowo”, tzn. jak „dziurę” w terminarzu poważnych propozycji wystawienniczych płynących z kraju i zagranicy. Poważnych, czyli zapewniających przyzwoity katalog, rzetelne recenzje w centralnych środkach przekazu, autorstwa liczących się krytyków; nie obowiązkowe, ale jednak zwyczajowo przyjęte zakupy prac przez galerię i odpowiednie warunki ekspozycyjne. Tęgo zaś BWA w Łomży zapewnić nie może i choćby szef tej placówki, Andrzej Szufarski urządził strajk głodowy w witrynie swej firmy, miejscowe władze nie mu na to nie poradzą, bo czasy są ciężkie, o czym nikogo przekonywać nie trzeba. Innymi słowy, trudno BWA być partnerem dla znakomitości świata plastyki, chociaż to nie oznacza, że Biuro nie ma dobrych wystaw. Tyle, że niekiedy dany artysta otrzymuje ciekawszą propozycję i terminu etalazu w Łomży nie dotrzymuje.

Gdy więc kolejny plastyk odmówił, powstał awaryjny pomysł wystawy prac łomżyńskich. Spóród wszystkich zaproszonych do niej z województwa, odpowiedziało ledwie siedem osób; jedna od zamyślenia odstąpiła, bo miała niedawno swój bewuowski pokaz; reszta nie była zainteresowana. Wystawa jest więc właściwie fragmentarycznym przeglądem poczynił tubyckich artystów, co takie znow zle nie jest,

gdyż jeszcze w grudniu tego roku odbiorcy uraczą się zbiorową prezentacją dokonań tutejszego środowiska, optymalnie reprezentatywną i pełną co do listy nazwisk, a obecny pokaz jakby zwiastuje tę grudniową imprezę. Tyle, że przydałaby się informacja na plakatach i w sali ekspozycyjnej o takim właśnie charakterze obecnego pokazu, bowiem



dla wielu (zamiejscowych szczególnie, wszak sezon turystyczny w pełni) plastyka łomżyńska może pozostać w pamięci jako siedem nazwisk i kilku, nienajlepszych przecież w dorobku ich właścicieli, obrazów. Zgodnie z zamysłem organizatora zgromadzone tylko prace najnowsze, a pozostałe kryteria doboru pozostawiono uznaniu wystawiających się osób. Selekcja prac — chociaż nie umówiona — wydołała z obrazów wspólny ton nastrojowy — melancholijnej refleksji — i albo faktycznie skryły się w owoch przedsięwzięciach plastycznych wspomniane intencje realizatorskie, albo też współczesny kontekst polityczno-społeczny tak silnie żyje w psychice odbiorcy, że łatwo wydołał i ze mnie owo pesymistyczne widzenie świata i człowieka. Stosunkowo najłatwiej daje się ono odczytać z prac Grażyny Ke-

dzielskiej. Duże nieregularne plamy w odcieniach zieleni, fioletu i szarości układają się w trzy portrety kobiet w różnym wieku; zastrygłe w krzesłach postaci wydobyte z bezkształtnej tła, o twarzach nijakich i pustym wejrzeniu. W podobny klimat wprowadzają jej dwie martwe natury, równie zimne i zszarzałe kolorystycznie, gdzie obraz świata zamyka się w rzeczywistości pokoju o ciężkich, nieprzepuszczalnych światła zasłonach, z przywidłymi kwiatami na stole.

Płótno Stanisława Kędzielskiego „Postać II” odsyła do beckettowskich koszmarów oczekiwania na Godota. Niespokojne linie i kontrastowe barwy tworzą otwartą kompozycję, wprowadzając napięcie między głównymi elementami struktury — leżącym w pustym pokoju człowiekiem, a wpółotwartą celulozą drzwi.

Podobnie statyczne są prace Joanny Siwkiewicz. Jej „Postać I”, „Postać IV” i „Postać VII” osłagają jednak jeszcze większy stopień amorficzności, upodabniając się niemal do pozaludzkiego otoczenia. Kontrastowe barwy i nieregularna, syntetyczna plama sprzyjają abstrakcyjnemu spojrzeniu na człowieka, wydobywając jego uniwersalną, wewnętrzną niespójność.

Znacznie staranniej skrywa się czarnowidztwo w bajeczne kolorowych wizjach Zbigniewa Kruszewskiego. Mówią o rzeczywistości za pomocą techniki powiększonego rastra akcentuje współczesność i powszechność tej mowy, charakterystycznej dla biblii XX wieku: codziennej gazety z jej pospieszonymi, rastrowymi zdjęciami, tyle deformującymi widzenie świata, co pretendującymi do byskawicznego i globalnego obieg. Regularne, powiększone kropki rastra oscylują innymi jeszcze znaczeniami: ich perfekcyjna okrągłość, identyczność kształtów, symetria i wielość przywołują na myśl tani optymizm typizacji i perfekcyjnego automatyzmu — objaw technokratycznej mentalności naszych czasów. Przedmiotem oglądu trzech prezentowanych na wystawie prac Kruszewskiego jest natura: „Mój ulubiony krajobraz”

(Widok Łomży od strony Narwi, a nie osiedla Jantar), „Mam chmurkę w dłoni” (woda, gorący piasek, słońce, opalający się) i obraz bez tytułu (biegnąca w plażowym stroju). Poszukując współczesnymi oczami rastra powrotu do rousseauskiej przyrody — wybacicielki od cywilizacyjnej udręki — Kruszewski zdaje się akcentować niemożliwość dostrzeżenia w niej niczego poza aksjologiczną pustką.

Z dwóch propozycji Iwony Sielskiej jedna rejestruje rozbudzany żywioł zieleni, trochę przypominając dziecinny rysunek naśladowujący stylizację baśniowych ilustracji, a przez to — ogład natury fascynującej tajemniczością i napawającej lekkiem, druga — abstrakcja w dominującej tonacji szarości i zimnego błękitu poddawana może być wielorakim interpretacjom, z których najważniejsza dla wewnętrznego porządku obrazu wydała mi się introdukcja w chaotyczne pierwociny życia, wobec których można jedynie być, bez możliwości rozpoznania w nich siebie.

Z ocalałych po niedawnym pożarze pracowni Mieczysława Mazura zwraca uwagę oryginalne ujęcie łomżyńskiej fary w pracy „Katedra”. Wydobyte na pierwszym planie zalepsza mieszczańskich domów, nad którymi wystaje jedynie szczyt świątyni, ustanawia w obrazie, spowitym w brunatnej gamie barw, szczególną hierarchię wartości. Fasadowość religii, jak fasada Domu Bożego, zachowana jest podwórkową stroną mieszczańskich pieleszy. Drugi z obrazów Mazura — poza smętną atmosferą wiejskiego krajobrazu — nie pozostawia we mnie większego wrażenia.

W podobnym, co Mazur z „Katedry” kręgu zainteresowań zdaje się pozostawać ostatni z eksponujących, Andrzej Szufarski w ascetycznym „Obrazie”. Jednolita granatowa płaszczyzna płótna rozjaśniona u góry kręgiem delikatnej poświaty, przechodzącej od odcieni niebieskich do fioletu — to jakby rozblisk nadziei, krótki i prowadzący do adwentowego fioletu smutku w ludzkim bytowaniu.

JULIUSZ ŚWIĘDO

## sport

### marsz cherlawych

Młodzież mamy zdolną i ambitną. Skutecznie rywalizuje ze swoimi rówieśnikami w kraju i co ważniejsze w sportowym współzawodnictwie osiąga niezłe wyniki. Od niedawna bez żadnego respektu zaczęła wygrywać i zdobywać medale; na mistrzostwach Polski i spartakiadach młodzieży. Powie ktoś, że i ślepiec kurze... Nieprawda. Kilkuletnia — może nie zawsze konsekwentna, bo przecież ciągle się uczymy i gonimy najlepszych — ale wyłożona praca daje w końcu owoce.

W ubiegłym roku w końcowej klasyfikacji VII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży województwa łomżyńskiego uplasowało się na 35 pozycji. Sportowcy zdobyli trzy medale, po jednym w każdym kolorze. Początkowa radość niektórych działaczy zmieniła się w chwłobną panikę, bo co to będzie za rok, gdy nie uda się sukcesu powtórzyć. Na razie jednak nie nie

powiada „katastrofy”. Do finałów gładko zakwalifikowała się grupa strzelców (5 osób w ośmiu konkurencjach) i może wśród nich znajduje się następca Zapędzkiego. Także lekkoatleci, w tym dwie sztafety, oraz jeden z kolarzy, a pozostały jeszcze do rozegrania eliminacje w kajakerstwie i wioślarstwie. W tych ostatnich dyscyplinach od lat mamy szansę, ale jakoś nie wychodzi, więc może w tym roku. Tak więc jak na razie wyniki przerastają możliwości. Chociaż trzeba się zgodzić i z tymi, którzy twierdzą, że możliwości nie wykorzystujemy do końca, bo medale i punkty zdobywają sportowcy z Łomży, a przecież w pozostałych miejscowościach województwa jest taka sama młodzież. Już po ubiegłorocznej spartakiadzie wyraźnie narzucił się wniosek, że teren jest mało aktywny; wynika to z faktu, że są tam gorsze warunki — efekt wieleletnich zaniedbań. Nie ulega wątpliwości, że jeśli w przyszłości chcemy mieć więcej satysfakcji z rywalizacji sportowej tam trzeba szukać rezerw. Ale co to znaczy gorsze warunki? Brak bazy i środków finansowych. Znamy wiele przykładów, że ambicją można zniwelować niedostatki. Zresztą w Łomży warunki nie są lepsze, niż na przykład w Zambrowie, Kolnie,

Grajewie, czy chociażby w Wysokiem Mazowieckim i Ciechanowcu. A o tym, że ambicja zmniejsza dysproporcje i — pomimo braku środków można osiągnąć niezłe wyniki świadczy chociażby przykład Jana Steca z Piątnicy. Zgodzić się jednak trzeba z twierdzeniem, że ambicja nadrabiać można na krótką metę. Nadal natomiast trzeba zabiegać o poprawę bazy; bo nie chodzi tylko o wyniki we współzawodnictwie, chociaż są one dość skutecznym dopingiem. Twierdzą, że poziom sportu wycynowego jest wykładnią stanu masowej kultury fizycznej. Może upraszcam sprawę?

„Trzynastka” jest powszechnie uważana za liczbę feralną i zapewne z tej przyczyny zapamiętałem z jakiegoś sprawozdania, że tylko 13 proc. szkół podstawowych w łomżyńskim posiada sale gimnastyczne. Te procenty lokują województwo na szarym końcu klasyfikacji — jeśli dobrze pamiętam — na 47 pozycji. Dotyczy to także liczby i stanu obiektów sportowych. Te porządne, nasza młodzież może oglądać w telewizji, albo tuż za miedzą, w województwie ostrołęckim — gdzie są może skromniejsze, ale w przeciwieństwie do naszych zadbane.

Wiele wysiłku wymaga, i jak na razie przerasta nasze możliwości,

budowa nowych obiektów i urządzeń. Ale gospodarzmy przynajmniej rozsądnie tym co mamy. Jeśli modernizację stadionu w Łomży, czy też rozbudowę budowy basenów można ostatecznie tłumaczyć „trudnościami obiektywnymi”, to nie ma żadnego usprawiedliwienia dla ciągnącej się od lat budowy pawilonu sportowego WZ LZS w Łomży. To samo dotyczy kortów przy Zespole Szkół Ekonomicznych w tym mieście. Od kilku lat brakuje rzekomo mączki ceglanej, a w Szeptowie leży tego kilkadziesiąt ton i nie nie wskazuje na to, że w najbliższym czasie będzie zużyta.

Inny przykład lekceważącego stosunku administracji. Jeden z „patronów” województwa poradził sekretarzowi znanego klubu, który zwrócił się do urzędu o pomoc, aby przez dwa lata nie zawracał mu głowy sportem, ponieważ ma aktualnie pilniejsze sprawy do załatwienia.

Niby racja. Ale czy zupełne ignorowanie problemów sportu — będącego bezcennym lekarstwem na polepszenie kondycji młodego pokolenia — nie skrupi się za parę lat na tychże władzach? Choćby w postaci problemu: Jak tchnąć ducha ambicji (i nie tylko) w armię sfrustrowanych, cherlawych dorosłych?

WYMIATA CZ

KONTAKTY

## skrzyżowania

Zmotywowani bywalcy skrzyżowania ulic Świerczewskiego i Armii Czerwonej w Łomży, znanego pod obrazową nazwą „dyskoteka”, podzielili się ostatnio na trzy frakcje. Powodem rozłamu stało się zatarcie linii rozgraniczających na dwa pasy wylotów ze skrzyżowania. Zabieg przeprowadzono świadomie ale — choć był on pozornie prosty — przysporzył w konsekwencji wiele problemów niektórym kierowcom. Jedni uważają, że przejazd przez skrzyżowanie należy zakończyć przy lewej krawędzi czyli

## swawole na dyskotece

przy środkowej wysepce, drudzy — że jechać przy prawym krawężniku; zaś kolejne, trzecie ugrupowanie (najbardziej liberalne) dopuszcza obie możliwości w zależności od sytuacji...

Znajomi specje od inżynierii ruchu drogowego i eksperci przepisów podpowiadają, że sytuacja dojrzała do jednoznacznego rozstrzygnięcia. Sam nie pretenduję do miana wyroczni, ale ze źródła wiedzy zaczerpnąłem przy pomocy uznanych w naszym województwie autorytetów. Przy okazji dowiedziałem się, jak wygląda rodzaj poprawnego sposobu przejeżdżania „dyskoteki”. Wynika on bezpośrednio z zasady ruchu prawostronnego obowiązującej w Polsce. Tak więc przez owo

nieszczęsne skrzyżowanie winniśmy jechać prosto ze środkowego pasa (mówią o tym znaki poziome — strzałki na nawierzchni), a po przejechaniu ulicy poprzecznej — zjechać do prawej krawędzi jezdni.

Być może nie wszystkich satysfakcjonuje tak krótki wykład, lecz pozwała on kierowcom na uniknięcie rozterek. Bo najgorsze dla użytkowników dróg jest właśnie niezdecydowanie. Chwila niepewności powoduje utrudnienie ruchu, a często i wypadek.

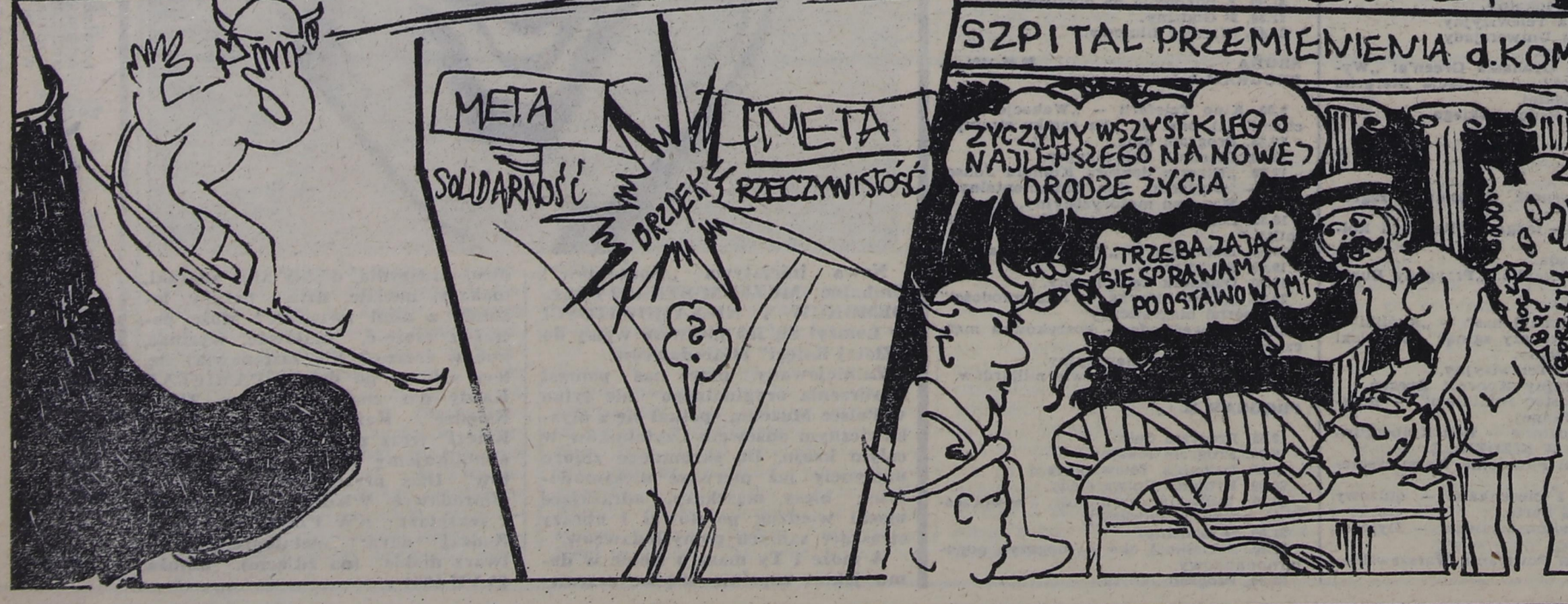
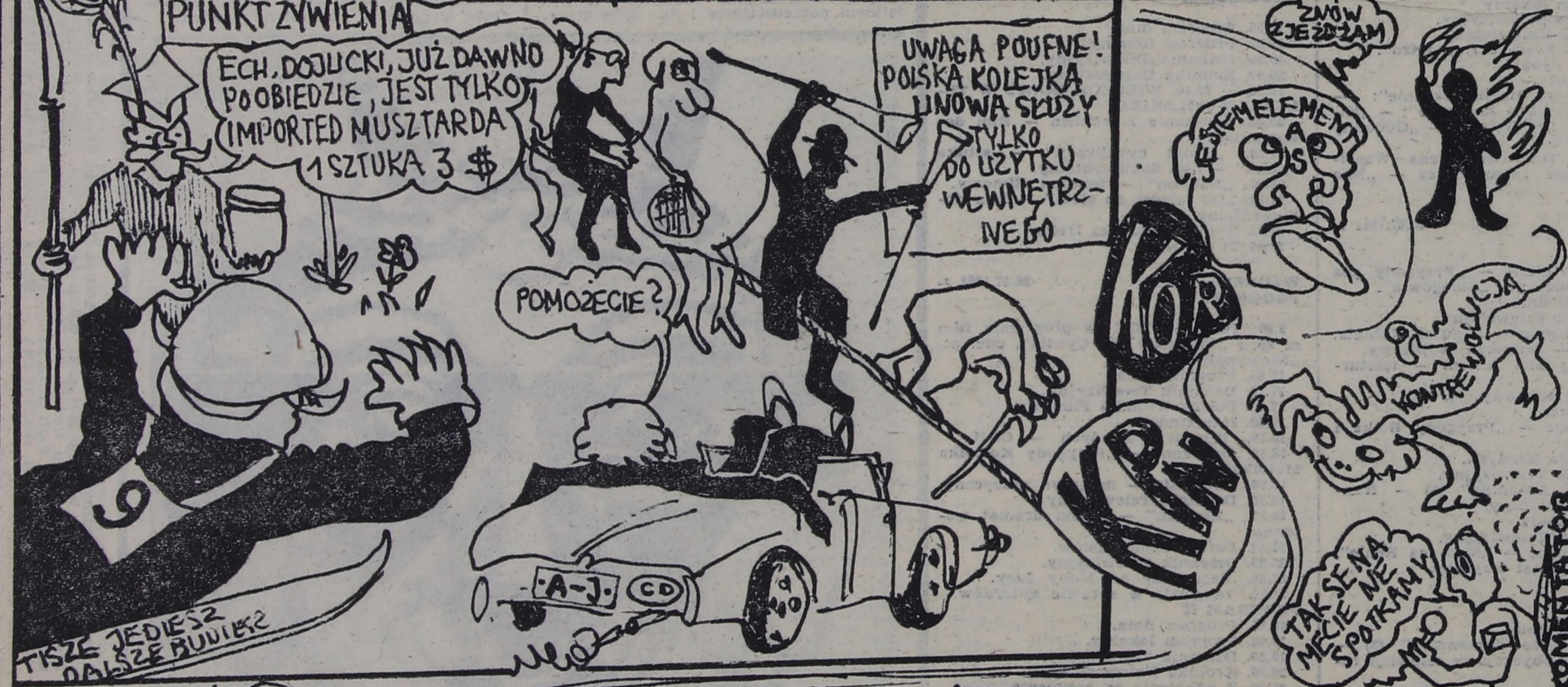
A propos wypadków. Posypało się ich co niemiara. O „urodzaju” najbardziej świadczą liczby porównujące i półrocze bieżącego i ubiegłego roku. Wynika z nich niezaprzelalnie czarny obraz sytuacji na

drogach w Łomżyńskim. Wypadków przybyło ponad 40 proc.; zabitych — 83 proc. i rannych — 52 proc. Aż strach pomyśleć, kto z nas będzie następnym...

Jeśli idzie o sprawców „krwawych żniw”, to godzi się wyjaśnić, że co czwartą tragedię powodują piesi, zaś co szóstą—siódmą miłośnicy znacznych prędkości, przeciwnicy pierwszeństwa przejazdu oraz — liczni w dalszym ciągu — amatorzy krępkich trunków. Tych ostatnich nie zrażają ani ceny, ani kłopoty z kupnem, ani konsekwencje tego „hobby”. Najwidoczniej traktują alkohol jako swoiste panaceum dobre na wszystko. Na frasunek, tęsknoty i problemy kraju.

DYŻURNY DROGOWSKAZ





**DIABELSKIE  
OBRACHUNKI**

PRZEDSTAWIA DRAMAT  
ADMINISTRACYJNY

MINI-KABARET  
**PIEKIELKO**

DZIS WERSJA WIDEO

DZIS WERSJA WIDEO

DZIS WERSJA WIDEO

organ samoistny pod redakcją **Andrzeja Koziary**

**POKUSY**